



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zofia Kunysz

Moje wspomnienia z Syberii

Rodzice moi, dziadowie i pradziadowie wywodzą się ze wsi Kraczkowa koło Rzeszowa. Cała rodzina to rolnicy. Dziadkami ze strony Ojca byli Bartłomiej Kunysz i Agata z domu Magoń. Ze strony Matki – Paweł Ruszel i Agata z domu Peszko. Ojciec mój – Józef Kunysz urodził się w 1900 roku. Mama była młodsza od niego o trzy lata. Urodziła się w 1903 roku.

Dzieciństwo Mamy przypadło na czas I wojny światowej. W kraju panowała wówczas nędza. Ludzie cierpieli, ale cieszyli się każdą chwilą osobistego szczęścia. Tak było z moją Mamą, gdy w 1923 roku wyszła za mąż za Józefa Kunysza. Zamieszkali oboje w Kraczkowej Górnej – w domu Mamy.

Życie w niepodległej Polsce powoli się normalizowało. Rodzice włączyli się do prac społecznych. Rodzina powiększała się. Organizowały się lokalne społeczności, nawiązywały przyjaźnie. Mimo to Ojciec – niespokojny duch – postanowił w 1937 roku wyjechać na urodzajne tereny wschodniej Polski, które znał z wojska. Sprzedał dom, zabudowania gospodarze i wyjechał z Mamą i trójką dzieci do miejscowości Zarudzie koło Tarnopola. Tam rodzice kupili dużo żyznej ziemi i rozpoczęli nowe życie. Sytuacja materialna rodziny bardzo się poprawiła.

I oto 1 grudnia 1938 roku przyszło na świat kolejne dziecko. Byłam to ja – Zosia. Pozostałe siostry – znacznie starsze – miały trudności z zaakceptowaniem takiego malucha. Z czasem jednak bardzo mnie pokochały i otaczały troskliwą opieką.

Pierwszego września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę. Zachodnią granicę naszego kraju zaatakowała półtoramilionowa armia niemiecka. Tysiące samolotów pokryło niebo. Rozpętało się piekło. Zaczęło się bombardowanie polskich miast, wsi, dróg i ważnych obiektów strategicznych. W kilkanaście dni później – 17 września – na polskie tereny wschodnie wkroczyły wojska radzieckie. Nic nie wiedzieliśmy o tajnym układzie ZSRR z Niemcami, który można uznać za ostatni rozbiór Polski. Przecież mieliśmy zawarty ze Związkiem Radzieckim pakt o nieagresji. Było to więc dla nas ogromne zaskoczenie. Polska znalazła się w kleszczach dwóch okupantów. Wojska bolszewickie bez zęzady podjęły działania zmierzające do skłócenia miejscowej ludności – Ukraińców i Żydów przeciw Polakom. Rozpoczęły się denuncjacje, aresztowania i prześladowania tak zwanych „wrogów ludu”. Szczególnie Ukraińcy polowali na „Polaczków”. Pewnego dnia Bronia – najstarsza siostra – wbiegła do domu z okrzykiem: „Mamo! Wasyl (sąsiad) biegł za mną z nożem!” Matka nie uwierzyła, przecież tu w Zarudziu wszyscy żyliśmy w przyjaźni. Między Ukraińcami a Polakami nie było żadnej wrogości. A jednak w krótkim czasie okazało się, że Ukraińcy podpuszczeni przez bolszewików rzeczywiście ostrzą w kuźniach noże, topory i kosy, by „reżati Lachów”. Teraz będzie samostijna (niezależna) Ukraina. Polaków należy wytepić, zniszczyć.

Rodzice byli coraz bardziej zdezorientowani. Co robić? Co będzie dalej? Czy Ukraińcy rzeczywiście rozpoczną mordowanie miejscowej polskiej ludności? Rodzina żyła w ciągłym strachu. Rozpoczęły się nocne czuwania, gdyż Ukraińcy napadali w nocy na śpiące polskie rodziny, bezlitośnie wszystkich mordując. Nawet dzieci nie oszczędzali. Niepokój wzrastał. Poczucie niebezpieczeństwa nasilało się, tym bardziej, że wzmocniły się pogłoski o wywożeniu Polaków w głąb Rosji. Rodzice nie mogli w to uwierzyć. A jednak pogłoski się sprawdziły.

Nadszedł tragiczny dzień 10 lutego 1940 roku. W środku nocy silny łomot do drzwi. Wkroczyli żołnierze NKWD. Wraz z nimi przyszli miejscowi Ukraińcy i Żydzi z biało-czerwonymi opaskami. Mieli karabiny. Wtargnęli, by wskazać „wrogów ludu”. Usłyszeliśmy krzyk: „Wstawać! Zbierać się! Dostaliśmy 15 minut na spakowanie rzeczy. Przed domem czekały sanie z żołnierzami NKWD. Na dworze siarczysty mróz. Dzieci zbudzone ze snu płakały. Mamusia także. Co teraz zrobić z najmłodszym 12-miesięcznym dzieckiem? Przecież ono nie przeżyje zesłania na Syberię. Nie wytrzyma drogi w skrajnie trudnych warunkach. Może zostawić Zosię u sąsiadów – Ukraińców? Lecz i tu jest niebezpiecznie. Jeśli przetrwamy, gdzie po powrocie szukać naszej córeczki? Decyzja zapada – Zosia jedzie z nami! Oddajemy ją pod opiekę Boga i Najświętszej Maryi Panny.

Pod eskortą rosyjskich żołnierzy zostaliśmy dowiezieni do dworca kolejowego w Zborowie. Na stacji oczekiwało już na nas kilkanaście składów kolejowych z wagonami towarowymi. Takich sanek jak nasze stało tam setki. Wszędzie pełno polskich rodzin z okolicznych wiosek i osiedli. Przy temperaturze –35 stopni, wśród łez i krzyków rozpaczy wpychano ludzi do wagonów (50–60 osób w jednym). Do ścian przymocowane były szerokie, drewniane półki, na których nie można było ani stać, ani siedzieć, gdyż głowa musiała być ciągle pochylona. Wagony w przeszłości służyły zapewne do przewozu bydła, gdyż nie posiadały ogrzewania, oświetlenia ani okien. Rozpacz malowała się na twarzach moich rodziców i wszystkich ludzi. Nikt nie mógł uwierzyć w panoszące się bezprawie, brutalność NKWD i bezbronność tłumu świadomie narażonego na śmierć w tych podstawionych do wyjazdu „trumnach”. Największe niebezpieczeństwo groziło matkom z małymi dziećmi przy piersi, chorym, starcom. Siłą wywleczeni z łóżek nie zdążyli zabrać ciepłego ubrania. Czekala ich śmierć przez zamrznięcie. Jeżeli rodziców nie było w domu zabierano same dzieci, które nie zdawały sobie sprawy z tego, co się dzieje i bardzo płakały. W wagonach nie było żadnych urządzeń sanitarnych. Potrzeby fizjologiczne załatwiano korzystając z wyciętego w podłodze otworu, osłoniętego zawieszonym kocem. Rodzice opowiadali, że wagony wypełnione ludźmi stały na stacji ponad dwie doby. Ludzie zaczęli chorować, a niektórzy zmarli. Niestety, nikt się tym nie przejmował. Najbardziej dokuczało zimno i brak wody. Nie można było wyjść z zamkniętych wagonów. Płaczącym dzieciom dawano do picia zmarzlinę zdrapaną ze ścian. Byliśmy wywożeni jak bydło.

Wreszcie pociąg ruszył. Kierunek – Syberia. Pozbawieni jakichkolwiek praw, stłoczeni w wagonach, jechaliśmy w nieznaną i nic nie mogliśmy zrobić. I tak upływały dni wyznaczone stukotem pędzących kół. Po drodze umierali chorzy, starsi, a najczęściej dzieci. Rosyjscy żołnierze od czasu do czasu odryglowywali drzwi, by sprawdzić, czy nie ma zmarłych. Zwłoki wyrzucano na tory, a pociąg mknął dalej i dalej na wschód. Po kilku tygodniach jazdy zatrzymaliśmy się na jakiejś stacji. Nie wiadomo było gdzie jesteśmy. Jak się później dowiedzieliśmy, był to Krasnouralsk w rejonie Uralskim. Stąd, przy temperaturze około –40 stopni rozwożono nas odkrytymi samochodami do różnych miejsc odległych od Krasnouralska o jakieś 60 kilometrów. Moja rodzina trafiła do Wierchnej Tury, a następnie do miejscowości Kaban. Posiłek ten znajdował się w okolicy Swierdłowska. Wokoło była bezkresna pustka pokryta lodem.

Jazda odkrytymi samochodami w bardzo niskiej temperaturze skończyła się dla niektórych Polaków tragicznie. Nie wytrzymali udręki podróży i pozostali na zawsze w śnieżnej pustce. Moje siostry opowiadały, że mama w czasie tej drogi załamała się psychicznie. Z trudem udało się ją odratować. Posiłek, do którego zostaliśmy dowiezieni składał się z kilku baraków przysypanych śniegiem po dach. Mieszkali tam Uzbeki, Kirgizi, Tatarzy, Żydzi, Ukraińcy, Mołdawianie i Rosjanie, będący na zsyłce tak jak my. Przyjęli nas chłodno. Zostaliśmy ulokowani w pustych barakach bez ogrzewania, zdani całkowicie na siebie. Do dzisiaj prześladuje mnie widok bezkresnych terenów pokrytych lodem i śniegiem. Byłam taka malutka, a jednak przez długie lata budziłam się z krzykiem, widząc we śnie tę zimną dal.

Miejscowa ludność, widząc naszą rozpacz i nieporadność, zaczęła się do nas odnosić serdeczniej. Czy przetrwamy? Jak długo tu będziemy? Wszyscy stawialiśmy sobie te pytania. Pilnowani przez NKWD musieliśmy pracować w trudnych warunkach. Niektórzy mężczyźni pracowali w kopalniach, gdzie posługiwali się prymitywnymi narzędziami. W rezultacie często dochodziło do wypadków. Kobiety i dzieci zatrudnione były przy wyrębie drzew, budowie dróg i zabudowań. Oprócz chłodu dokuczał nam głód. Na jedną osobę pracującą przypadało 200 gramów chleba i to na kartki. Chleb był z nieprzebitej mąki, z otrębami i łuskami. Z trudem się go jadło. Latem sytuacja była lepsza. Ludzie ratowali się jagodami oraz grzybami, których w lasach było mnóstwo.

W posiołku przebywaliśmy do 22 czerwca 1941 roku. Sami nie wiedzieliśmy jak się nam udało przetrwać półtora roku w tych trudnych warunkach. Wraz z wybuchem wojny radziecko-niemieckiej zmniejszono racje chleba i głód bardzo nam doskwierał. Pod koniec czerwca oznajmiono zesłanym do posiołka Polakom, że zostaną przeniesieni do kolchozu w Nikolsku. I znów odkrytymi samochodami wieziono nas w nowe miejsce zesłania – do Nikolska (100 kilometrów od poprzedniego posiołka). Ponieważ nie mieliśmy żadnego kontaktu ze światem, nie wiedzieliśmy, że po podpisaniu układu Majski-Sikorski o współpracy polsko-radzieckiej (30 lipca 1941 roku) sytuacja zesłańców miała się zmienić radykalnie. W sierpniu władze NKWD uchyliły zakaz poruszania się Polaków po ZSRR. Jednakże nikt nas o tym nie powiadomił, bo chcieli jak najdłużej mieć bezpłatnych robotników.

Zamieszkaliśmy w przygotowanych barakach, nie wiedząc o nowych prawach. Warunki były jeszcze gorsze niż w poprzednim posiołku. Baraki stały na wysokich palach, ponieważ tereny były podmokłe. Roje muszek nie dawały nam spać. Od ukąszeń tworzyły się rany i opuchlizna. Szczególnie cierpiały małe dzieci, narażone na wszelkiego rodzaju infekcje. Polaków zatrudniano przy wyrębie lasów i przy sianokosach. Praca była ciężka. W zimie wymagała hartu ducha i odporności na zimno. Brakowało ciepłej odzieży ochronnej, którą posiadali Rosjanie, czyli kufajek (kurtek na wacie), walonek (buty z grubego filcu) i spodni podszytych watą. Nie posiadaliśmy również grubych czapek osłaniających uszy. Stąd częste odmrożenia twarzy i uszu. Polacy musieli radzić sobie sami. Z łyka robili rodzaj obuwia-siatki. Nogi owijali w szmaty i wkładali w taką siatkę. Nazywali je łapciami. Chroniły one przed odmrożeniem, ale tylko na krótko, bowiem szmaty odwijaly się i stopy narażone były na odmrożenie, powodujące niekiedy gnicie kończyn. Całe rodziny zatrudniano przy wyrębie lasu. Mężczyźni ścinałi drzewa długimi pilami, a kobiety i dzieci oczyszczały z gałęzi i liści upadające pnie. Niejednokrotnie dochodziło do tragicznych wypadków, gdyż ścinane drzewa przygniatały ludzi. Za tak uciążliwą, niewolniczą pracę otrzymywali skromną porcję gliniastego, czarnego chleba. Obok naszego mieszkania, za ścianą z desek mieszkała polska rodzina Siwców. Było tam kilkoro dzieci, wечно głodnych, ponieważ na ich utrzymanie pracował tylko ojciec. Od rana do wieczora słyszało się ciągle zawodzenie: „Chleba!” Robotnicy, którzy palili machorkę (suche liście tytoniu drobno pokrojone, zawinięte w gazetę), mieli piętnastominutową przerwę w pracy na wypalenie papierosa. Niepalący musieli w tym czasie pracować. Z czasem, by nieco odpocząć, zaczęły palić nawet dzieci. Jeżeli machorki było niewiele, wkładano ją do dolka w ziemi, podpalano. Palące kładli się dookoła i przez słomki wciągali dymek. Zimą w drewnianych, nieszczelnych barakach było bardzo zimno. W szparach między deskami mieściło się królestwo pluskw i wszelkiego innego robactwa, które utrudniało nam życie. W nocy często je podpalano, wtedy przez kilka godzin był spokój. Mieszkaliśmy na terenach podmokłych, z powodu czego dokuczała nam plaga komarów. Czasami było ich tak wiele, że przesłaniały słońce. Trzeba było chronić przed nimi dzieci, by nie chorowały. Komary i mniejsze mustyki to przedstawiciele muchówek – jak nasze muchy. Mustyki w tajdze syberyjskiej są zróżnicowane. Dokuczały nam również małe kąśliwe muszki, tzw. meszki. By ochronić się przed komarami, stosowano różne metody. Najskuteczniejsza była „dymokurka”. Była to podziurawiona gwoździem puszka po konserwie, do której wkładano zmurszałe drewno i podpalano. Aparaturę tę Polacy nazywali też „kadzielnicą na drucie”.

Oprócz mrozu i ciężkiej pracy najbardziej dokuczał głód. 20 deko chleba na pracującego stanowiło głodową porcję. Dlatego zjadano wszystko, co się poruszało – nawet psy, koty. Poza tym wydłubywano z ziemi zamrożone ziarno, ziemniaki i nasiona.

Na tych terenach wydobywano m.in. złoto. Za kradzież najmniejszego okruszka groziła śmierć lub więzienie. W wyniku ciężkiej pracy, zimna i głodu ludzie masowo umierali. Mama szła czasami do sąsiedniego posiołka, aby wymienić coś z ubrania (przywiezionego jeszcze z Polski) na kilka kilogramów ziemniaków lub kilka litrów mleka. Najczęściej było to mleko kozie, którym dokarmiano mnie, dzięki czemu przeżyłam głód. Inni nie mieli tyle szczęścia. Wiele dzieci w wieku od dwóch do czterech lat nie powróciło z zesłania. Moja rodzina dokładała wszelkich starań bym przeżyła. Tylko Bogu i najbliższym zawdzięczam powrót do Polski. Wychowana na kromce chleba, kołysana syberyjskim wiatrem rosłam – mimo wszystko, a może na przekór losowi. Widać tu było wyraźnie opiekę Bożą.

W posiołku był tylko jeden sklep, gdzie sprzedawano chleb na kartki. Ekspedientka starała się ważyć solidnie, co do grama. Było więc zawsze kilka małych kawałeczków nazywanych dowieskami. Należały one do tego, kto szedł po chleb. Z tego też względu każdy z rodziny chciał iść do sklepu. Zimą, gdy zawała drogę, były problemy z dowiezieniem żywności. Zdarzyło się raz, że kierowca wiozący samochodem chleb przez zamrożoną rzekę, zatonął. Mama opowiadała, że nie żalowano wówczas ani kierowcy, ani samochodu, tylko chleba, którego nie dostarczono go głodniałym ludziom.

Przed głodem ratowano się w różny sposób. Liczył się każdy przeżyty dzień. Przy pracy w stajniach podkradano karmę dla zwierząt, najczęściej makuch. Można go było długo żuć i nie odczuwało się głodu. Jeżeli się udało, kradziono też ziemniaki przeznaczone dla zwierząt, zwykle zmrożone, ponieważ przechowywano je bez przykrycia. Moja dwunastoletnia siostra Janka była bardzo odważna.

Gdy wieziono furmankami ziemniaki, ubrana w luźne spodnie i bluzę (podwiązane nogawki i rękawy), biegła za wozem i podkradła je, wrzucając do rękawów i nogawek. Ciężka to była „praca” dla takiego dziecka, bo i woźnica nie żałował batów na „worów” (złodziei), ale za to w domu była wielka radość, kiedy wysypała ten zdobyty skarb. Gdy Ojciec wracał po ciężkiej pracy, a na stole stały lepioszki, z radością rzucał się na jedzenie i całował mamę w rękę.

Raz w tygodniu kazano nam iść do przygotowanej łaźni. Było to duże pomieszczenie, wewnątrz mocno nagrzane i wypełnione parą tak gęstą, że ludzie nie widzieli się wzajemnie. Dzieci szły do kąpieli razem ze starszymi. Następnie należało w stroju Adama wejść na drewniane półki, położyć się i bić mocno brzożową miotłą. Po takiej kąpieli człowiek czuł się jak nowo narodzony.

W tutejszych lasach było bardzo dużo niebezpiecznych żmij, więc ludzie obawiali się chodzić na grzyby. Jednak ponieważ stanowiły one uzupełnienie posiłków i ratowały przed głodem, prawie każda rodzina suszyła grzyby na zimę. Rydze kiszono w beczkach. Same kapelusze, bez nóżek, układano jak placki, solono i przykładano dużym kamieniem. Po kilku dniach w beczce tworzył się gęsty, ciągliwy, biały sos, a grzyby były chrupiące jak kiszony ogórek i wspaniałe w smaku. Mama wybrała się kiedyś z grupą Polaków na grzyby. Mnie, trzyletnią dziewczynkę, zostawiła pod opieką sąsiadki. Barak był wysoki. Na zewnątrz przy wejściu na strych stała długa drabina. Pamiętam tylko, że weszłam na nią i to bardzo wysoko. W rezultacie spadłam na cegły. Długo nie dawałam znaku życia. Sąsiadka była przerażona i zarzekała się później, że już nigdy nie zaopiekuje się cudzym dzieckiem.

Zapamiętałam, że w tych lasach rosły kiedry. Prawdopodobnie były to cedry. Te piękne drzewa – wysokie, proste i różowe w środku – używano jako drewno na opał. Korony miały pokryte dużymi szyszkami, zawierającymi jadalne, oleiste ziarna podobne do słonecznika. Szyszki strząsano nim się jeszcze rozchyliły, ponieważ wtedy ziarna nie wysypywały się na trawę. Dzieci bardzo je lubiły. Piękne, duże szyszki służyły do zabawy. Miejscowi uprawiali ziemniaki i paprykę. W ciągu krótkiego lata (3 miesiące) zbierano piękne plony, o ile ktoś wcześniej nie wykradł sadzonek.

Mama opowiadała, że mieszkańcy, którzy przez kilka lat solidnie pracowali, mogli się wzbogacić i kupić sobie kozę. Posiadanie jej zabezpieczało przed głodem. W lasach żyły zające. Zimową porą przyoblekały się w zimowe futerka.

W Nikolsku wszystkie dzieci musiały uczęszczać do przedszkola i szkoły. Na wspólnej sali gromadzono dzieci różnej narodowości: polskiej, rosyjskiej, tatarskiej, ukraińskiej, żydowskiej. Utrudniało to porozumiewanie się. Wychowawczyni – Rosjanka – miała nie lada problem. Z czasem radziła sobie coraz lepiej. Kiedy płakały, miała prosty sposób na uspokojenie: biła rękami po ogolonych głowach. Spoglądałam na jedyne zdjęcie z tamtych lat. Wszystkie dzieci są jednakowe – głowy gołe jak pałki. Już zacierają się w pamięci jakiej są narodowości. Po tatarskich dzieciach zapamiętałam jedno najczęściej używane słowo – „ipi” (chleb). Dzieci głodowały i umierały z głodu podobnie jak większość mieszkańców. W przedszkolu i w domu jedno miały zawołanie: „Chleeeba!!!” Wychowawczyni, obdzielając nas na śniadanie kromką chleba, nie zapomniała i o sobie. Za schówek służył duży portret Batuszki Stalina, odchylony górą do ściany.

Nie chciałam chodzić do przedszkola. Płakałam i bardzo tęskniłam za rodziną, a szczególnie za mamą. Czasami myślałam sobie: „Dlaczego mnie tu oddają, przecież ja ich wszystkich tak bardzo kocham”. W przedszkolu nie było żadnych zabawek. W domu miałam matroszkę uszytą ze starych szmatek – siódmy cud świata, ale się nią nigdy nie bawiłam. Posiołek, w którym mieszkaliśmy, to kilka baraków przedzielonych drogą, na której leżały oczyszczone z gałęzi olbrzymie kłody. Pewnego razu uciekłam z przedszkola. Przeszłam po ściętych kłodach i szczęśliwa byłam w domu. Niedługo trwało to moje szczęście. Przyszła wychowawczyni i zabrała mnie z powrotem. W porze południowej dzieci leżakowały. Leżaki wykonano z czerwonego materiału rozpiętego na listewkach. Za mój wyczyn musiałam podczas leżakowania stać pod ścianą. Byłam na tyle duża, że dosięgałam do dziurki od klucza. I co ujrzałam? O dziwo! W sąsiednim pokoju, przy długim stole siedział personel przedszkola ze swoimi dziećmi. Wszyscy popijali mleko. I to z kozuszkami. Na pewno było przeznaczone dla nas, ale myśmy go nigdy nie pili. Na obiad otrzymywaliśmy zawsze to samo – talerz zupy z pokrzywy, bez żadnych dodatków.

Latem chodziliśmy głębiej w las na progulkę (spacer). Z rzeki wyciągaliśmy długą trawę – białą i słodką na końcu. Kiedy szliśmy na spacer, przechodziliśmy obok baraku – stołówki, gdzie wydawano zupę. Przed okienkiem ustawiała się długa kolejka z miseczkami. Często dochodziło do kłótni i różnych nieporozumień. Oczywiście chodziło o gęstość zupy. Tym razem z kolejki wybiegło dwóch mężczyzn. Jeden – typowy azjata – w kolorowej siateczce na głowie. Przy ustach miał kilka czarnych, rzadziutkich włosków – wąsów. Twarz śniada. Nie wiadomo było o co tym razem chodziło. Może o miejsce w kolejce? Doszło między nimi do ostrej bójki. Azjaci nie mogli jeść mięsa wieprzowego – wiara im na to nie pozwalała. Polacy i Rosjanie dokuczali im w ten sposób, że róg płaszcza chwyтали w rękę tworząc jakby świńskie ucho. Azjaci byli wtedy bardzo zdenerwowani. Po wschodzie słońca gromadzili się i oddawali hołd Allahowi.

Po spacerze myśliśmy rączki w bardzo dziwnych umywalkach. Przypominały mosiężne miseczki przymocowane do ściany. Na dnie każdej był otwór gruby jak palec, z dwoma główkami, na końcach gwóźdź. Jedna główka na dole, a druga na zewnątrz miseczki – przy gwoździu. W miseczce woda. Podbijało się ręką gwóźdź dolny do góry. W tym momencie wypływała woda. W czasie mycia trzeba było kilkanaście razy podbić gwóźdź.

Nowy Rok to wielkie święto w przedszkolu – „Balszoi Prazdnik”. Maszerowaliśmy dwójkami przed portretem Batiuszki Stalina. W rączkach trzymaliśmy czerwone gwiazdki na drucikach. Szliśmy dookoła filaru stojącego na środku sali i śpiewaliśmy piosenkę o Nowym Roku. Pamiętam tylko refren: „Wstriczajem my (2x), wstriczajem Nowyj God”. Nie wiem, czy Batiuszka Stalin usłyszał głosy głodnych cherlaków. Śpiewaliśmy też piosenkę o komarze: „Komar muzyku wiediot, mucha piesienku pajot aj uli ugarod” (2x).

Dzień wolny od pracy różnił się od zwykłych dni tym, że kierowniczką przynosiła dla swojej córeczki sukieneczkę z granatowego wiwetu w małe, kolorowe różyczki i ubierała ją jakoś odwrotnie, bo od lewej strony. Jaka ona była wtedy piękna – jak laleczka. Staliśmy wszyscy dookoła i aż oczy błyszczały z zachwytu. Kiedyś pani kierowniczką zaprosiła mnie do swojego domu. Bawiłam się z jej córeczką. Poczęstowała mnie nawet ciasteczkami. Były takie smaczne. Nigdy podobnych nie jadłam. Pomyślałam sobie wtedy: „Jak im dobrze i mieszkanie ładnie urządzone”.

Pewnego dnia poszliśmy z mamą odwiedzić pewną panią, Rosjankę. Przez dłuższy czas rozmawiała z mamą, a potem wyjęła spod łóżka zawiniątko. Był to obraz przedstawiający Matkę Bożą. Na dzień chowała go pod łóżko, by ktoś nie zauważył i nie doniósł kierownictwu posiołka, wieczorem natomiast wyjmowała do modlitwy, by uczcić Maryję. No, niechby się tak dowiedziały władze, że ona się modli! NKWD zaraz znalazłoby dla niej pokój w więzieniu. Kobieta spojrzała na mnie i na mamę i na moment zatrzwożyła się. Mama już wiedziała o co chodzi. Uspokoila ją i zapewniła, że ja nikomu nie powiem. Zawinięty obraz znów znalazł się pod łóżkiem. Starsi Rosjanie modlili się w ukryciu. Jeżeli w pobliżu nie było nikogo z obcych, bluźgali na Lenina i Stalina, ponieważ uważali, że to oni byli sprawcami ich nędzy. W pobliżu naszego baraku stał pomnik Lenina. Zbierał „biedaczek” ciągi zawszonymi koszulami – przeważnie od Żydów. Od swoich zaś za ten „raj”, który im stworzył.

W Nikolsku był kołchoz, gdzie hodowano bydło. Jakaż mizerna była ta hodowla! Pastuch gnał krowy przez las kilkanaście kilometrów dziennie. Jedynym pokarmem była trawa, którą chwyciły w biegu. Na sztych miały umocowane dzwonki zrobione z nabojów (z pocisków) – tzw. „batało”, aby je można było łatwiej znaleźć, gdyby zgubiły się w lesie. W skromnym domku za wsią (uczastkiem) mieszkało osiemnaście dojarek. Tam też mieszkała i pracowała moja najstarsza siostra Bronia. Pastuch przyganiał cały tabun krów. Nie były związane. Każda dojarka musiała odnaleźć i wydoić dwadzieścia swoich krów. Niektóre były niesforne, czasami bodły. Pewnego razu – jak wspominała Bronia – krowa kopnęła wiadro pełne mleka i wszystko wylało się w błoto. Zwierzętom dokuczaly też muchy. Machaly więc ogonami przez co uderzały dojarki po oczach. Praca ta była bardzo uciążliwa i nerwowa. Dziewczyny używały przez to wulgarnych słów. Wyzywały krowy i wszystkich dookoła. Dojarki otrzymywały przydział mleka. Wobec tego Bronia część przydziału przynosiła do domu. Teraz było nam nieco lżej. Czasami biegłam głodna do lasu, do siostry i czekałam ukryta za drzewem. Może dostanę troszeczkę mleka? Wiedziałam, że nikt oficjalnie nie może mi podać ani kropli, bo za to czekałoby złodzieja więzienie, z którego się już najczęściej nie wraca. A głodne oczy patrzyły zza drzewa.

Kiedyś młoda Niemka – narażając się bardzo – kiwnęła na mnie palcem. Wiedziałam, co to znaczy. Podbiegłam do niej. Dostałam duży kubek mleka ze śmietanką. Piłam jednym tchem, aż mi oczy wychodziły na wierzch z pośpiechu i ze strachu. Wiedziałam bowiem co czeka moją dobrodziejkę, gdyby ktoś doniósł kierownictwu. Takich donosicieli było wszędzie pełno. Po wypiciu zwróciłam kubek i pobiegłam do lasu. Oglądałam się tylko, czy mnie ktoś nie widzi. Jednego razu poszłam odwiedzić Bronię. Dojarki poczęstowały mnie mlekiem i urządziły sobie zabawę. Podzieliły się na dwie grupy. Jedne mówiły, że wypiję jakąś tam ilość mleka, inne że nie. Chciałam, aby wygrała grupa mojej siostry. Piłam i piłam, aż oczami przewracałam. Niestety, grupa Broni przegrała. Nie dałam rady, ale mleko, które było wygraną w tej grze, otrzymałam.

Przed domkiem dojarek stały dwa olbrzymie byki. W nozdrzach miały duże żelazne koła, za które były przypięte do grubych kołków. Zajmowała się nimi młoda Rosjanka. W święto przyszła inaczej ubrana. Byk jej nie poznał i dalejże biec za nią. Przerazona wskoczyła na wóz, który stał na podwórku. Byk podbiegł, wziął ją na rogi i przebił brzuch. Gdy zobaczył czerwoną krew, pokazał co potrafi. Biegał dookoła małego domku jak szalony. Kiedy był za budynkiem, dojarki wybiegły i szybko wciągnęły poturbowaną do środka. Byk szalał jeszcze bardziej. Obawiały się, że rogami rozniesie ich skromne zabudowanie. W końcu ktoś go ujarzmił. Dziewczyna po dłuższym leczeniu powróciła do pracy.

Osobno stała duża obora. W niedzielę Bronia miała tutaj dyżur. Trzeba było sprawdzić, czy któraś z krów nie urwała się i dodać karmy. Zabrała mnie ze sobą. Postawiła wewnątrz, przy zamkniętych drzwiach, a sama weszła dalej. Obora była długa. W pewnym momencie zauważyła rozjuszoną czarną krowę, która biegła środkiem stajni w moim kierunku. Łeb miała spuszczonej. Duże rogi nie wróżyły nic

dobrego. Ja natomiast przytuliłam się do drzwi. Siostra w porę zdążyła z odsieczą. Niewiele brakowało, by krowa przybiła mnie rogami do drzwi. Pan Jezus czuwał nade mną!

W oborze pasteryzowano mleko. Następnie Tatuś przewoził je w olbrzymich bańkach do odpowiedniego punktu. Opowiadał, że gdy wjeżdżał w gęsty las i nikogo w pobliżu nie było, ucinał długą trawę, wchodził na beczkę, podnosił pokrywę i pił, pił, pił... Spijał z góry śmietankę. Sam jego wygląd świadczył o tym, że nie żywił się pokrzywami. Kiedyś, gdy wiózł mleko, zobaczył w lesie dwoje małych dzieci. Podeszedł bliżej, zdumiał się. Przecież to córeczka Zosia i sąsiad Gienek Trojnar – przedszkolaki. Zgubiliśmy się na spacerze. Byliśmy bardzo pogryzieni przez komary i opuchnięci. Czyż Opatrzność Boża nie czuwała nad nami? Obecnie Gienek jest księdzem (wrocławskie), a ja siostrą zakonną – sercanką.

Jednego razu Ojciec, wioząc mleko, zdrzemnął się. Koń wpadł do dołu i nabił się na pal. Pamiętam, że Ojciec przyszedł po pracy bardzo zmartwiony. Czekало go za to więzienie. Od razu zwolniono Tatę i Bronię. Nie mieliśmy już mleka. Do tej pory Ojciec przynosił mi mleko w wewnętrznej kieszeni kufajki (kurtki), w małej, płaskiej buteleczce. Teraz pozostała tylko pokrzywa. Nim doszło do rozprawy oboje otrzymali skierowanie do pracy w polu przy zbiorze turniepcza (rzepy). Najedli się surowej rzepy, bo byli głodni i zachorowali. Lekarka stwierdziła tyfus brzuszny. Wezwała „karetkę pogotowia”, czyli duże sanie wymoszczone słomą. Ulokowano Ojca, trzy starsze siostry, mnie i w drogę... 15 kilometrów do szpitala. W baraku pozostała zrozpaczona mama. Pierwszy raz byłam w szpitalu. Białe łóżka i biała pościel. Było bardzo czysto – w porównaniu z naszymi mieszkaniami w baraku. Przydzielono mnie do pokoju ze starszymi siostrami – Stefą i Janką. Bronia, najbardziej chora, leżała w separacie. Ojciec przebywał na oddziale męskim.

Codziennie rano przychodziła pielęgniarka, by podać leki. Nie chciałam ich przyjmować, więc zaciskała mi nos. Wtedy otwierałam szeroko usta i sprawa była załatwiona. Często płakałam rano bez powodu. Powtarzało się to przez kilka dni z rzędu. Wtedy energiczna Janka chwyciła mnie za koszulkę i swój „koncert” kończyłam za drzwiami. Jeżeli korytarzem przechodziła Onisja Pawłowna – młoda, piękna lekarka – brała mnie na ręce, tuliła i starała się pocieszyć. Kiedyś przyniosła mi nawet lalkę. Niekiedy biegłam na oddział Tatusia i skarżyłam się, że siostry mnie katuja. Dobry Tata nakładał na siebie koc i przychodził załagodzić sprawę. Przy szpitalu była trupiarnia. Obfitowała w szcury. Miały pożywkę, bo często wnoszono tu zmarłych. Mojej matce chrzestnej wygryzły policzki. Kiedyś widziałam przez okno, jak woźnica wywoził zwłoki w drewnianej skrzyni, na której siedział. Chciał je zagrzebać w leśnej zmarzlinie.

Nocą, gdy leżałam w łóżku, słyszałam sygnał rosyjskiej lokomotywy. Był przeraźliwy. Ponieważ nigdy nie widziałam lokomotywy, wyobrażałam sobie, że jest to olbrzymi potwór, który może zjeść mamę idącą przez las do szpitala. Bardzo to przeżywałam i nie mogłam spać.

Od 1942 roku Polacy otrzymywali pomoc w postaci żywności i odzieży. Nie było tego za wiele, ale przez pewien czas bardzo nas to podratowało. Mama mogła coś z otrzymanej odzieży wymienić na żywność. Do szpitala przynosiła w małym woreczku (10 na 15 centymetrów) ugotowane ziemniaki. Cóż to była za radość. Mama przysłała! Każda z nas dostawała na talerz łyżkę ziemniaków zalanych gorącą wodą. Kiedyś pani doktor powiedziała do mamy: „Gdyby twoje dzieci były odżywione, to szybko by stanęły na nogi”. Droga do szpitala była długa (15 kilometrów) i niebezpieczna ze względu na wilki. Pewnego razu Rosjanin z naszego posiołka jechał sankami do szpitala. Mama prosiła, aby ją zabrał, ponieważ też idzie do szpitala. „Nie wolno – odpowiedział – możesz się tylko sanek trzymać”. Sanki były puste. Mama biegła przy sankach 15 kilometrów. Może bał się, że ktoś na niego doniesie, ale na tej przestrzeni nie było żadnego domu. Nikt nie chodził, ani nie jeździł. Ot, po prostu „prikaz” (rozkaz).

Po przyjeździe do szpitala mama szła najpierw do najbardziej chorej Broni. Temperatura jej utrzymywała się przez trzy miesiące w granicach 40–42 stopnie. Zrywała się z łóżka, majaczyła, chciała gdzieś uciekać. Widziała beczki śledzi, prosiła żeby jej je dać. Pielęgniarki przywiązywały ją do łóżka i biły. W wyniku wysokiej gorączki miała spieczoną usta. Mama siedziała przy niej i zwilżała je. Prosiła pielęgniarki, aby jej nie biły, bo przy tak wysokiej temperaturze nie jest świadoma tego, co robi. W szafce przy łóżku chorej leżały kromki chleba, niedojedzone skóreczki. Mama była bardzo głodna. Zjadała te resztki i nie zaraziła się, chociaż Bronia chorowała na tyfus. Podczas choroby siostra straciła wszystkie włosy. Głowę miała golutką jak niemowlę.

Ze względu na dużą odległość mama nie mogła nas często odwiedzać. Jeżeli już przysłała, to pozostawała przez cały dzień. Tutaj przecież była cała rodzina. Raz, wieczorem bała się sama wyruszyć przez las w drogę powrotną. Położyła się obok chorej Broni i usnęła. W nocy przysłała pani doktor. Zobaczywszy śpiącą mamę załamała ręce: „Coś ty zrobiła! Jeżeli ktoś na mnie doniesie, stracę pracę i czeka mnie więzienie” – krzychała. Mama usiadła więc przy łóżku i w takiej pozycji spędziła resztę nocy. Rankiem wyruszyła do baraków.

Po dość długim pobycie w szpitalu odtransportowano nas do mieszkania. Bronia przeżyła, ale była bardzo szczupła i słaba – nie mogła ustać na nogach. Na pięcie nie było ciała, tylko sama kość. Ubierała kilka skarpet, ale i to nie pomagało. Wróciliśmy do domu, lecz co dalej? Takie słabe kościotrupy nie

nadają się do pracy, a jeszcze za wypadek z koniem czeka Tatusia więzienie. Co robić? Dobry Bóg czuwał nad nami. Bronia wróciła do swojej dawnej pracy. Znow była dojarką. Kierownik kołchozu chciał nam pomóc. Powiedział, że Bronia poradzi sobie jakoś przy krowach. Właściwie to musiała, bo nie było innego wyjścia. Początkowo nie miała siły, więc aby wydoić krowę kłękała w błocie. Piła mleko i zaczęła przybierać na wadze. Wracaly jej siły. Zaczęły odrastać włosy; były pięknie kręcone, wyglądała słicznie. Ojca przyjęto do dawnej pracy (darowano mu więzienie). Pracował też przy koniach. Czasami podbierał koniom karmę – makuch – twarde, ościsty, ale zawsze coś w żołądku było. Z końskiego włosia robił ładne szczotki do ubrania. Dziurawił małą deseczkę wielkości szczotki. Przy pomocy szpikulca i dratwy przeciągał pędzelki z włosia przez wypalone w deseczce otworki. Potem przycinał, wyrównywał i powstawały ładne szczotki. W rodzinie są dwie takie szczotki – pamiątka z „raju”.

Mieliśmy kawałek lusterka. Takich rzeczy się tutaj nie spotykało. Dbaliśmy o nie i szanowaliśmy jak relikwię. Tatusz oprawił lustro w drewno. Mieszkańcy baraku od czasu do czasu przychodzili się przejrzeć. Chcieli sprawdzić, czy są jeszcze szlachetnymi ludźmi czy też upodobnili się do zwierząt. Potrzebny był także grzebień. Mieliśmy taki nieduży, dwustronny, bardzo gęsty, tzw. „karabin” (jeszcze z Polski). Używało się go do polowania na „drobniejszego zwierza”. Na co dzień potrzebny był zwykły grzebień. Ponieważ taki przedmiot był nieosiągalny, Tatusz zrobił „cepeliowski” grzebień z aluminiowej blachy. Nadał mu kształt konika. W tułowiu wyciął sporą liczbę grzebieniowych zębów. Był mocny i długo nam służył – nawet po powrocie do Polski.

Ojciec potrafił zaradzić wszystkim potrzebom. Zrobił nawet lampę z gilzy (mosiężna tulejka z dużego naboju). Wkładał knot (kawałek materiału z rosyjskiego wojskowego płaszcza), wlewał naftę, zaciskał górną część gilzy tak, by knot nieco wystawał i już była gotowa lampa. Problem w tym, że po zapaleniu niesamowicie kopciła. Po dłuższym siedzeniu przy tak „luksusowej” lampie twarze przybierały ciemny kolor, a izba przypominała kuźnię. Jeżeli knot się wypalił, podciągało się go do góry igłą. Do zmiękczenia wody do mycia głowy i prania służył popiół z drewna. Po umyciu oraz spłukaniu włosy były czyste i puszyste. By zabezpieczyć włosy przed insektami smarowano głowę naftą.

Dzięki jednej książeczce do nabożeństwa przywiezionej z Polski wiedzieliśmy kiedy jest jakie święto. W nocy sąsiad wsuwał zapaloną szczapę przez otwór wycięty w ścianie, by zobaczyć która godzina. Po przeciwnej stronie wisiał w ścianie przywieziony z Polski budzik. Nie można było bowiem spóźnić się do pracy. Za taki sabotaż groziło więzienie, z którego najczęściej nie było powrotu.

W lipcu 1941 roku nadeszła miła dla Polaków wiadomość – gen. Anders organizuje wojsko polskie. Młodzi chłopcy i dziewczęta mieli się zgłosić w odpowiednim punkcie. Jakaż radość! Zaczyna świtać nadzieja, że może Polska będzie wolna i wrócimy na swoje. Pan Bóg nikogo nie opuści. Czuwa nad nami, pomaga, gdy prosimy Go o to. W baraku, w którym mieszkaliśmy, obok naszej izby mieściło się biuro. Wszyscy robotnicy codziennie wieczorem przychodzili po przydział pracy na następny dzień. Polacy wstępowali do nas i ciągle rozmawiali o Polsce. Śpiewali religijne pieśni i piosenki o Ojczyźnie. Często zastanawiałam się, co to jest ta Polska, o której rozmawiają i śpiewają.

W październiku 1944 roku gruchnęła nowa wiadomość: Polaczki wyjeżdżają! Czy to pewne? Tyle już było podobnych wiadomości... Teraz już pewne. Jedziemy! Ale jeszcze nie wiadomo dokąd. Trzeba się tylko wykazać jakimś dokumentem, że się jest Polakiem. W tym czasie w Domu Dziecka przebywało wiele polskich sierot, których rodzice zmarli na Syberii. Nie miały one szans na wyjazd, np. dzieci państwa Siwców nie miały dokumentów i musiały pozostać na zesłaniu.

Euforia, wszędzie się słyszało: „Jedziemy! Jedziemy... może do Polski... Na pewno do Polski”. Sprzedaliśmy więc cały zapas żywności, jaki posiadaliśmy na zimę. Było to małe wiaderczko ziemniaków schowane pod łóżkiem. Co tam wszystko! Najważniejsze, że jedziemy. Polacy biegali od jednego baraku do drugiego. Może się wreszcie skończy ta nasza tragiczna sytuacja...

W przeddzień wyjazdu odwiedził naszą rodzinę kierownik kołchozu i zakomunikował, że nie pojedziemy, ponieważ Ojciec dobrze pracuje, jest solidny. Im teraz tacy są potrzebni. Rozpacz!!! Co robić?! Nie możemy przecież pozostać tam sami. Wyjazd wyznaczono na następny dzień. Od rana podwozy (furmanki) dowoziły Polaków na dworzec kolejowy. Jacy wszyscy szczęśliwi... Chcą jak najszybciej stąd wyjechać, żeby ich jeszcze nie zatrzymali... Moi rodzice zrozpaczeni. Nie jechać do Polski? To niemożliwe! Tyle lat czekania. Wszyscy jadą. W końcu Ojciec podjął niebezpieczną decyzję – mama z dziećmi dosiadzie do kogoś na furmankę i potem razem z innymi wsiadzie do wagonu. On natomiast pójdzie na dworzec przez las i w ostatniej chwili, kiedy pociąg zacznie ruszać, wskoczy do wagonu. Wielkie ryzyko, ale nie było innego wyjścia. Zdał się na wolę Bożą. Co będzie, to będzie. Wolą Bożą było abyśmy tam nie pozostali. Udało się! Wszyscy przeżyliśmy i teraz wracaliśmy do wytęsknionej, umiłowanej Ojczyzny.

Pociąg ruszył. Jedziemy w kierunku Polski. Wzniósł się dziękczynny śpiew „Serdeczna Matko” i „Boże coś Polskę” – przerywany szlochom tych, którzy pozostawili swoich najbliższych zagrzebanych w śniegach Syberii. Niektórzy Polacy pobrali sobie za żony Rosjanki i teraz rozpacz... Jest już rodzina. Jak odjechać? Wielu młodych Polaków musiało więc pozostać na obczyźnie. Wracamy w takich samych wagonach towarowych z półkami, w jakich nas wywożono z Polski, z tą różnicą, że bez eskorty NKWD.

Teraz wszyscy rozlokowali się wygodnie. Środkową półkę na dole zajął Żyd. Pan Herjan z rodziną mieszkał na najwyższej półce. Każdego ranka rozpoczynał swoją ulubioną piosenkę, a głos miał piękny i donośny. Brzmiała ona tak: „Chłopiec ci jo chłopiec, w polu dobrze orze, wszystko mi się dobrze dzieje, chwała Tobie Boże...” Jeżeli coś się Żydowi nie podobało i podnosił głos na pana Herjana, ten krzyczał z góry: „Bedzies ty cicho Żydzie, bo skoce na ciebie z butami”. Jednak poza kilkoma incydentami wszyscy żyli w zgodzie. W naszym wagonie jechali także Ślązacy. Często śpiewali piosenkę o Śląsku:

„Już zachodzi czerwone słońce, na zielone gaje (2x)
Ubodzy wojacy, śląscy wojownicy idą na bój krwawy.(2x)
Na granicy Górnego Śląska jest tam przepaść wielka (2x)
Tam niejedna panna, panieneczka śląska, utraciła strzelca. (2x)
Złączyli się do jednej brygady, bolało ich serce (2x)
Chcieli oswobodzić cały Górny Ślązek i Jego granice. (2x)

Teraz wagony miały szeroko otwarte drzwi. Wejście było wysokie, więc Polacy dorobili drewniane drabinki do każdego wagonu. Były one bardzo strzeżone, bo po nich schodziliśmy na postojach. W każdym wagonie jedna osoba odpowiadała za drabinkę.

Kiedyś po drodze zatrzymaliśmy się w dębowym lesie. Ludzie wybiegli rozprostować kości i nacieszyć się wolnością. Siostry przyniosły mi sporo żołądź. Jakież to były piękne zabawki. Takich jeszcze nigdy nie widziałam. Jak wielką sprawiły mi radość! Jeszcze teraz widząc żołądź przypominam sobie syberyjską podróż.

Przejechaliśmy przez góry Ural – skaliste i bardzo wysokie. Było wiele długich i ciemnych tuneli. A potem jechało się i jechało. Przez całe dni pociąg dyg, dyg, dyg. Im bliżej na południowy zachód, tym cieplej. Może dlatego, że już blisko była ta wymarzona Ojczyzna – Polska. W drodze nie otrzymywaliśmy prowiantu. Jechaliśmy wygłodzeni, aż tu naraz zobaczyliśmy piękne pole kapuściane. Takie duże głowy. Do tego jeszcze pociąg się w tym miejscu zatrzymał. Już dawno nie widzieliśmy kapusty. Polacy pobiegli do maszynisty z pytaniem, czy długo będzie tutaj stał. „Dołgo!” – padła odpowiedź. Nasi więc, nie tracąc czasu, podstawili drabinki i pobiegli w pole. Już z garnków zawieszonych nad paleniskami rozchodzi się miły zapach gotowanej kapuścianej zupy. Teraz sobie podjemy za wszystkie czasy. Coś gorącego, bo od kilku dni jesteśmy na bardzo skromnym i suchym prowiancie. Zupka prawie gotowa. W tym momencie pociąg ruszył. Biegną wszyscy z pustymi garnkami i drabinkami. Pociąg zatrzymał się po kilku metrach. Złorzeczono maszyniście po polsku i po rosyjsku, jak kto najlepiej umiał. Gdyby to wszystko miało się na nim spełnić, to pewnie nie ruszylibyśmy z miejsca.

Nocą podziwiałam piękne, kolorowe światła stojące przy torach kolejowych. Ich widok dobrze zapamiętałam. Czasami, jadąc wieczorem pociągiem, zapominam że jestem w Polsce. Wspomnieniami jestem znów w transporcie...

Na jednym z postojów wszyscy powychodzili z wagonów i szli w jednym kierunku. Poszłam i ja za ludźmi. Mówiono, że będzie akademia. „Co to jest ta akademia?” – zastanawiałam się. Wkrótce się wyjaśniło. W jednym z wagonów Polacy śpiewali i mówili wiersze o Polsce. Ciągłe słyszało się to jedno słowo – Polska!

Dojechaliśmy do Charkowa. To duże i piękne miasto. Tutaj zatrzymał się nasz pociąg. Podziwiałam, że dużo jest pociągów, a ile torów. Wysiedliśmy. Wszyscy biegali w poszukiwaniu toalety. Ale gdzie tu znaleźć odpowiednie miejsce na tyle tysięcy osób? Nie było innej rady – wszystkie potrzeby załatwiano pod wagonami. Gdyby w tym momencie któryś z pociągów ruszył, zginęłoby wiele osób. W Charkowie zaprowadzono nas do łaźni, byśmy pewnie nie zabrali do Polski jakichś ruskich „pamiątek”. Łaźnia olbrzymia. Ściany i podłogi wyłożone białymi kafelkami. Jak tu pięknie i czysto. Trzeba było bardzo uważać, bo kafelki były śliskie. Doświadczyłam tego na sobie, gdy mnie mama „wybielała”. Pierwszy raz od wyjazdu ciepła woda. Można więc było przeprać nasze dziadowskie ubrania. Jednym słowem – kultura.

Nocą przejeżdżaliśmy przez jakąś szeroką rzekę. Zniszczony w czasie działań wojennych most jeszcze nie był naprawiony. Pod torami ruszały się w wodzie belki. Pociąg jechał bardzo wolno. Niektórzy ze starszych nie spali. Byli przerażeni. Myśleli, że z nami teraz pewnie będzie koniec. Dzięki Opatrzności Bożej przejechaliśmy szczęśliwie. Ciągłe jechaliśmy na południowy zachód. Było nam coraz cieplej. Dzieci siedziały w otwartych drzwiach ze spuszczoneymi nogami. Starsi wspominali dawne, dobre czasy. Syberia pozostała za nami. Do tych wspomnień nie chcemy wracać. Ciągnie się długi sznur wagonów. Jest nam ciepło, spokojnie, dobrze.

Pociąg zaczyna zwalniać. Czy coś się stało? Dojeżdżamy do miasta Herson. Przygotowany statek czekał, by nas przetransportować przez rzekę Dniepr, do portowego miasta Kachowka. Statek olbrzym. Takiego jeszcze nie widziałam. A jakie na statku szerokie kominy. Weszło nas prawdopodobnie kilka tysięcy. Kiedy znaleźliśmy się razem, można było dostrzec, jak nas jest dużo i jacy jesteśmy biedni. Rodzina moja otrzymała miejsce w dolnej części pokładu. Za okrągłymi okienkami widać falujące morze. Górny pokład ogrodzony był siatką. Można było spokojnie chodzić i podziwiać statki, a także

miasto Herson (z odległości). Niektóre statki były jeszcze większe od naszego. Nieprzyjemny, buczący ryk syren oznajmił nasz odjazd. Ruszyliśmy w morze. Był piękny, słoneczny dzień. Fale rozbryzgiwały się dookoła. Na brzegu stali Polacy, wymachiwali do nas rękami i coś wykrzykiwali. Widocznie nasz statek nie zabrał wszystkich. Po nich na pewno podpłył drugi.

Kiedy dopłynęliśmy do Kachowki podjechały po nas samochody. Przesiadka i dalsza jazda przez step. I znów marzenia nasze się nie ziściły – zamiast do Polski wywieziono nas jako darmową siłę roboczą do kolchozu Wtaroj Uczastok, obłast Krasnyj Perekop. Na miejscu rozlokowano nas rodzinami w rosyjskich gliniankach. My otrzymaliśmy jeden pokój w dużym baraku obok kancelarii. Domy budowano tutaj z gliny, słomy i krowiaku (nawozu), ponieważ w okolicy nie rosły żadne drzewa. Zmoczoną w mazi słomą przeplatano żerdzie wbite w ziemię. Baraki te były suche i przewiewne. Niemcy po wkroczeniu do Związku Radzieckiego 22 czerwca 1941 roku obsiali pola pszenicą. Ziemia piękna, urodzajna. Kiedy wracali po odniesionej klęsce, nie niszczyli zbóż. Teraz Rosjanie przywieźli nas na zbiory. Urosła dorodna pszenica. Ziarna były prawie tak duże jak groch. Oprócz pszenicy obsiano pola słonecznikiem. Olbrzymie tarcze słonecznikowe pięknie zdobiły okolicę. Ziarna podpiekano w piecu na złoty kolor. Były bardzo dobre. Nazywano je siemuszki. Do zbiorów pszenicy i słonecznika używano kombajnów. Na ich stalowych częściach były napisy – Stalowa Wola.

Ziarna pszenicy po omłocie usypywano w olbrzymie, długie kopce, tzw. ambary. Nie było przykrywane, ponieważ rosło bez dodatku nawozów sztucznych. Jeżeli popadał deszcz, wierzchnia warstwa kiełkowała, a pod spodem ziarno pozostawało suche i piękne. Polacy i Rosjanie kradli pszenicę, suszyli w piecu na złoty kolor, rozgniatali butelką na mąkę i piekli wspaniałe placki. Wreszcie polska biedota zaczęła przybierać na wadze. Naczelnik Jermałajew pilnował gospodarki, by złodzieje jej nie rozkradli. Jeśli dymił się gdzieś z komina, znaczyło to, że coś gotują lub pieką. Wówczas wpadał znielacka do tego domu w nadziei złapania żulika. Ale Polacy byli po praktyce syberyjskiej, a tutaj pod tym względem radzili sobie jeszcze lepiej.

Od Rosjan dowiedzieliśmy się, że na początku wojny z utęsknieniem czekali na Niemców, by ich wyzwolili od jarzma komunistycznego. Do nadlatujących samolotów ze swastyką wyciągali ręce. „Wreszcie ktoś nam pomoże!” Pomógł – zarzucił olbrzymią studnię żywymi, małymi rosyjskimi dziećmi. Wtedy Rosjanie mówili: „Bij się do ostatka, a nie daj się wziąć do niemieckiej niewoli”. No i bili się mocno. Stalin zwerbował do wojska Polaków. Poszli na pierwszy ogień. Niewielu przeżyło.

Robotników do pracy w polu dowożono ciężarówkami samochodami. Jechało sporo młodzieży, więc zabierano ze sobą harmoszkę (akordeon). Po stepie rozlegał się piękny, często dwu lub trzygłosowy śpiew – aż radowało się serce. Pamiętam jeszcze wiele piosenek rosyjskich z tamtych lat. W domu śpiewało się raczej pieśni religijne, patriotyczne i ludowe. Okolica była tutaj piękna. Jak okiem sięgnąć step – przestrzeń nieograniczona – trawy i kurhany. Ciepło. Od Morza Czarnego wieje ciepły wiatr, aż gwizdże. Porywa suche, okrągłe jak kulki trawy, goni je po stepie, zbija w duże kule i dalej pędzi. Za trawami gonili ludzie. Step żył. Za opał służyły suche trawy i wysuszone krowie kiziaki. Słońce świeci w zenicie. Nagrzewa ziemię i kamienie do tego stopnia, że nie można stanąć bosą stopą – a tam nosi się przeważnie takie „obuwie”. Zima. Śnieg pada rzadkimi płatkami i zaraz topnieje. Piękne są noce, jasne poświaty księżyca. Przy takim świetle można czytać książkę. Wieczorami ludzie spotykali się na towarzyskie rozmowy. O czym? O Polsce. Młodzież śpiewała pięknie i dużo. Siadałam na kolanach mamy i wtórowałam im albo rozmawialiśmy o Panu Bogu.

Wyciąganie wody ze studni odbywało się przy pomocy konia, który chodził dookoła. W tym czasie pusta beczka na grubym łańcuchu spuszczała się w dół, a druga – pełna – podchodziła w górę. Koń, chociaż niewidomy, wiedział kiedy ma się zatrzymać, aby Tatuś mógł przechylić beczkę z wodą do bardzo długiego, cementowego koryta. Praca przy studni trwała przez cały dzień. To była jedyna studnia w całym posesji. Z wody korzystali wszyscy – kolchoźnicy i przejeżdżające tędy zaprzęgi z południa. Kiedyś takie wozy wracały z polowania. Na każdym kołku drabiniastego wozu wisiało po kilka ustrzelonych zajączków. Na ogół z cieplejszych terenów przywożono owoce południowe, takie jak: oberkosy (śliwki wielkości jabłka, pokryte dużym meszkiem), kawony – zwane u nas arbuzami i wiele, wiele innych owoców. Przy karawanach zawsze kręciły się dzieci. Osiołków nie zaczepiały, nie przeszkadzały im. Gorzej było z wielbłędami. Jeden z chłopców drażnił wielbłąda, kiedy ten pił wodę. Zwierzę przez dłuższy czas znosiło te szykany cierpliwie. W końcu przebrała się miarka. Wielbłąd oblał chłopca całą fontanną wody. Czasami nawet zwierzęta uczył człowieka rozumu.

Polacy sprawdzili w książeczce do nabożeństwa, że najbliższa niedziela to Wielkanoc. To przecież dla nas największe święto. Ogłosili, że do pracy nie pójdą. „U nas siewodnia balszoi prazdnik” – tłumaczyli. Nie ma mowy o żadnej pracy. Naczelnik Jermałajew chodził od jednego domu do drugiego, zachęcał, groził... Bez skutku. Święto i koniec! Bronia (19 lat) tuż przed wywózką z Polski zdążyła wziąć ze sobą krakowski strój. Ubrała się teraz w niego. Włosy po tyfusie odrosły kędzierzawe. Młoda, wysoka, piękna dziewczyna w tym dniu, podobnie jak inni, nie poszła do pracy. Czytała jedyną polską książkę, która przechodziła z rąk do rąk. Naczelnik Jermałajew wszedł, przystanął i zauroczony patrzył na to piękne, kolorowe zjawisko. W końcu z zachwytu wykrztusił: „Kak caryca” (Jak caryca). Wyszedł

i już Polaków do pracy nie zmuszał. Jermałajew był tak bardzo zauroczony, ponieważ sam nie posiadał nawet koszuli. Na gołą skórę ubierał duży kozuch. Jeżeli coś się pod spodem roilo, wystarczyło poruszyć kozuchem i sprawa załatwiona.

Drugi dzień świąt – śmigus-dyngus. Teraz było pole do działania. Od rana Polacy biegali z wiadrami po stepie. Rosjanie byli przerażeni. Co tym Polaczkom się stało? Biją się pewnie i rozganiają wodą. Gdy ich Polacy uświadomili, że to u nas w drugi dzień świąt taki zwyczaj, wtedy i oni dołączyli się do zabawy. Jermałajew miał nie lada problem. Zdawał sobie sprawę, że już po wykonanej normie. Wszyscy biegali z wiadrami po stepie aż do wieczora. Cały posesłek ostro pracował. Woda w korycie, piękna pogoda – raj na ziemi. Tatuś nie mógł nadażyć z wodą. To były prawdziwie polskie święta. Wszyscy na długo je zapamiętali.

Któregoś dnia do wsi zaczęły zjeżdżać jakieś obce wozy zaprzężone w konie. Po rozmowie okazało się, że są to młodzi Ukraińcy, podążający naszym dawnym szlakiem na Syberię. Nastąpiła zmiana ról – tak to często w życiu bywa. Pytają Polaków: „Jak tam na Sybirze?” „Jedźcie, to zobaczycie – pada odpowiedź. – Myśmy już widzieli”. Po kilku dniach znów coś nowego. Rosjanie gnali przez posesłek białe woły. Miały bardzo długie rogi. Prawdopodobnie przygnali je z terenów zajętych przez wojska radzieckie. Było ich dużo. Nie wiadomo, co się później z nimi stało.

Pewnego razu w posesłku pojawiła się młoda nauczycielka. Ludzie ukradkiem spoglądali na nią z okien i zza domów. Jak ona się nie boi, przecież to Niemka. Aż strach z taką rozmawiać. Ona jest w niebezpieczeństwie. Nie wiem co się z nią stało. Można się tylko domyślać – więzienie. Janka otrzymała w tym czasie pracę w biurze jako telefonistka. To już coś! Uważałam ją za wielką urzędniczkę. Praca jej polegała na przywoływaniu ludzi do telefonu. Kierownik kolchozu Jermałajew często się do niej zwracał: „Pohukaj jewo” (zawołaj go). Na tym etapie radziła sobie wspaniale. Była młoda i szybka jak sarenka.

Nowa sensacja. W naszym posesłku ogłoszenie religijne. Niesłychana rzecz. Przyjedzie pop (ksiądz) i ochrzczi dzieci. Będzie nadrabiał wojenne zaległości. Uroczystość odbywała się w prywatnym domu. Kościoła ani cerkwi dotychczas nigdzie nie widziałam. Na środku mieszkania ustawiono miednicę z wodą. Kandydat do chrztu – dryblas bez koszuli – pochylił się nad miednicą, a duchowny przycinał mu włosy z czterech stron głowy i wrzucał do miski. Lud klęczał oraz bił pokłony. Dołączyłam do nich z innymi polskimi dziećmi. Tak czynili inni, więc widocznie tak trzeba. Co do spraw religijnych tutaj było już inaczej aniżeli na Syberii. Tam nie słyszałam, aby ktoś mówił o Panu Bogu albo się modlił – oczywiście poza Polakami. W święto zmarłych zebrało się na cmentarzu wielu ludzi. Poprzymosili w naczyniach różne potrawy i poustawiali na grobach swoich najbliższych. Było też dużo rosyjskich i polskich dzieci. Ustawiono je w długim rzędzie i każdemu dano kolorową pisaneczkę.

Prawie wszyscy mężczyźni poszli na front, wobec czego różne prace w posesłku wykonywały kobiety. Jeżeli zjawiał się jakiś kuternoga z frontu, wszystkie kobiety biegały za nim, aby pozostał z nimi. Najpierw mieszkał u najzamożniejszej. Gdy nadwreżył jej budżet, przenosił się do innej.

Obwieszczenie: „Dzisiaj w świetlicy wielka uroczystość. Szura wychodzi za mąż już po raz siódmy!” Dorwała jakiegoś kalekę z frontu. Teraz przepasana niebieskim paskiem, co ma jej dodać uroku, wiruje z nim po podłodze zarzuconej sianem. W taniec poszły Katie, Szury, Marusie. Plesają (tańczą) po dwie ubrane uroczyście. Każda ma na głowie przewiązaną do tyłu dużą chustkę. Słychać różne weselne przyspiewki. Ktoś przygrywa na harmoszcze. Wesele, że hej! Aż siano fruwa ponad głowami... Posiołek żyje!

Kiedyś szłam przez step i zauważyłam pod nogami bardzo dużego, zielonego węża. Był opasy i długi. Wystraszyłam się. Ten zaś wsunął się do dołu powstałego w wyniku eksplozji bomby. Zaczęłam więc rzucać w niego kamieniami. Na szczęście schował się w wysoką trawę. Na stepie w otworach w ziemi gnieździły się pająki wielkości pięści człowieka. Wszędzie czyhało na dzieci niebezpieczeństwo. Przykładem na to jest moja przygoda. A było to tak. Gdy przechodziłam obok naszego baraku, zauważyłam dużego psa – wilczura. Stał spokojnie, więc podeszłam do niego. Był wyższy ode mnie. Objęłam go za szyję i przytuliłam się. Pies odwrócił łeb i cap mnie za policzek zębami. Następnie odwrócił się i stał jakby się nic nie wydarzyło. Przegryzł mi policzek tak, że widać było trzonowe zęby. Płakałam. Winowajca stał i tylko na mnie spoglądał. Może żałował, że tak podle postąpił z dzieckiem, ale już się stało. Rana w krótkim czasie zagoiła się. Nie ma nawet najmniejszego śladu.

Na naszą sześciuosobową rodzinę otrzymaliśmy tylko jedną izbę. Było nam bardzo ciasno, spałam więc na środku na stole. Często budziłam się nocy i ze zdziwieniem stwierdzałam, że stoję obok „łózka”. Dziwiłam się, jak to się stało. W jaki sposób schodziłam ze stołu i kiedy? Aby uniknąć takich sytuacji, Tatuś zrobił mi coś w rodzaju hamaka (gniazdo uwieszone na haku u sufitu). Niestety, to też nie zdało egzaminu, ponieważ spałam skręcona jak kotek. Czasami, chociaż było bardzo ciasno, sypiałam z rodziną na słomie na podłodze. W tym czasie mieliśmy małego kotka, nazywałam go Pyciurek. Pewnej nocy, gdy spaliśmy na sianie, kotek obszedł wszystkich, obwąchał, a potem wsunął się pod moją pierzynkę. Był bardzo zadowolony, pomrukiwał. Mama mówiła, że on wieczorem mówi pacierz albo taki wierszyk: „Wór, wór chodźcie myszy we wór”. Jednak one się jakoś do tego wora nie kwapiły. To

był bardzo miły, mądry kotek. Kiedy podrośł, upolował na stepie zająca. Z wielkim wysiłkiem przyciągnął go do baraku i położył przed mamą. Cóż to była dla nas za ucztą. Na obiad podano mięso – no i „myśliwy” też coś obliżał.

Wyszło ogólne zarządzenie, że nie wolno na nocleg przyjmować Cyganów. Chłodna noc. Przed barak zajechał cygański wóz. Przyszła do nas Cyganka z dzieckiem. „Pani, przyjmij, dziecko małe, a na polu zimno” – błagała. Wykorzystała dobre serce mamy. Trudno... jest z małym dzieckiem. Przyjęliśmy. Po chwili Cyganka poprosiła mamę, by przyjęła męża, bo on stoi na podwórku i marznie. Dołączył mąż. Później następną prośba – córka itd., itd... Doszło ich jeszcze kilkoro. Nam samym w mieszkaniu było ciasno, a tu przybyło tyle osób. Ściśnięci siedzieliśmy w jednym kącie. Goście natomiast zajęli resztę pokoju. Zaraz ruszyli do pracy. Cyganki zaczęły wyjmować z podwójnych spódnic skradzione (prawdopodobnie) kury. Zaczęło się skubanie, patroszenie na tej słomie, na której spaliśmy. Już pod kuchnią palił się ogień. Wszędzie fruwa pierze. Mama całą noc czuwała, by nie wynieśli naszego jedyne przyodziewku. Odetchnęliśmy rano, kiedy „goście” się już wynieśli. To była dobra nauczka na przyszłość. Myślę jednak, że mama, gdyby w przyszłości powtórzyła się podobna sytuacja, postąpiłaby tak samo.

Cały czas czekaliśmy na wyjazd do Polski. Niestety, sytuacja nie ulegała zmianie. Trzeba więc było zająć się młodszymi dziećmi. Zakrzętnięto się, by powstała polska szkoła. Wybrano komitet, który poczynił starania o odpowiednie miejsce na ten cel. Na szkołę przydzielono nam jedną izbę w baraku. Nie było szyb w oknie... To znów nie taki problem w ciepłym klimacie. W miejsce szyby wstawiono dyktę. Była tablica i kreda. Szkoła dobrze wyposażona – można rozpocząć naukę. Ale pojawił się jeszcze jeden problem. Kto będzie uczył, jeżeli nie ma nauczycielki? Ustalono, że dla takich początkujących jak my, wystarczy ktoś, kto umie czytać i pisać po polsku. Nauczycielką została więc młoda dziewczyna, która spełniała powyższe wymagania. Do pierwszej klasy przyszły zarówno dryblasy, jak i małe dzieci. Pisałam na ręce litery kopiowym ołówkiem. Na jednej literę A, a na drugiej literę B. Asekurowałam się w ten sposób na wypadek wezwania do tablicy. Wywołana do odpowiedzi stanęłam na środku. Pomyliły mi się literki, która z której ręki i jak się nazywają, bo było ich aż dwie: A i B. Lekcja jakoś minęła. Brat naszej nauczycielki, rosły chłopak, nie słuchał siostry, nie uważał na lekcji, był niegrzeczny. Należała mu się kara. Pozostał w „kocie”. Wychodzimy wszyscy po lekcji, a ukarany uczeń wyjął dyktę z okna i tylko nogi zostały w „kocie”, a winowajca już na zewnątrz oddycha świeżym powietrzem.

Z braku papieru pisaliśmy na różnych starych kartkach, gdzie linie przebiegały ukosem. Ze względu na wyjazd do wymarzonej i ukochanej Ojczyzny, nasza edukacja nie trwała długo. Nie mieliśmy kopert. Napisany na kartce list składano w trójkąt. Na zewnętrznej stronie pisaliśmy adres, obok był stempel poczty polowej i listy dochodziły. Czasami podawano listy przez rosyjskich żołnierzy, którzy byli na urlopie. Po powrocie doręczali bezpośrednio do rodzin w Polsce. Na Syberii listy pisaliśmy na korze drzew.

Mieszkaliśmy w baraku przy kantorze (kancelaria). Wszyscy robotnicy przychodzili tutaj wieczorem po wytyczne do pracy na następny dzień. Po załatwieniu formalności zatrzymywali się w naszym mieszkaniu. Każdy siadał, gdzie mógł. Były to patriotyczne, radosne wieczory. Mogli swobodnie rozmawiać po polsku i rosyjsku, grać w karty, śpiewać. Wszyscy przynosili całe kieszenie siemuszek (przyrumienione ziarna słonecznika). W jedzeniu ziarna doszli do takiej wprawy, że garścią wrzucali do ust po kilkanaście ziaren i wyrzucali przez zęby wszystkie łupinki. Po wyjściu gości pozostawała cała góra śmieci. Od ciągłego gryzienia niektórzy mieli zniszczone przednie zęby.

W najbliższym położonym mieście – Kachowce – działał Związek Patriotów Polskich. Tutaj Polacy załatwiali wszystkie sprawy związane z przydziałem ubrań i żywności. Kiedyś widziałam w zachodzącym słońcu, jak Polacy wracali przez step z Kachowki. Uśmiechnięci, ładnie ubrani (z darów UNRRA), wyglądali jak panowie. Potrzebna była jakaś godziwa, patriotyczna rozrywka. Młodzież zorganizowała teatrzyk. Śpiewano tam polskie pieśni i piosenki oraz grano różne skecze. Występy cieszyły się dużą frekwencją tak Polaków, jak i Rosjan. Uczęszczałam i ja na te piękne przedstawienia. Pamiętam jak Polak Janek Jagielik siedział na scenie na ławce – niby na koniu. Podchodziła do niego dziewczyna (Polka) i śpiewała: „Macieju, Macieju, a kaj ty jedziesz?” Maciej odpowiadał arogancko: „Nie powiem ci, wis!” Dziewczyna: „A jak cie poproszę ładnie, to cie taka myśl napadnie, że ty mi powiesz Macieju..., że ty...” Maciej: „Do miasta jades, wis?” Dziewczyna: „Macieju, Macieju, a co ty wiesz, Macieju – a co ty...” Maciej: „Nie powiem ci, wis?” Dziewczyna: „A jak cie poproszę ładnie...” Maciej: „Jabcyska wieze, wis?” Dziewczyna: „A jak cie poproszę ładnie, to cie tako myśl napadnie, że mi jedno dos Macieju, ze mi...” Maciej: „A weź se ino nagnile!” Dziewczyna: „Macieju, Macieju, cy ty mnie weźmiesz, Macieju, cy ty mnie weźmiesz”. Maciej: „Nie weźme cie, wis?” Dziewczyna: „A jak cie poproszę ładnie, to cie tako myśl napadnie, że ty mnie weźmiesz Macieju, ze ty mnie...” Maciej: „A siadej se na końcu, tylko żebyś mi nie złamała rozwory”. Maciej (batem konia): „Wioooo!” (jadą na ławie).

Po występie wspólna zabawa. Kto żyw. Od najmłodszego do najstarszego i do takiego, który mógł poruszać chociaż jedną nogą. Jak zabawa, to zabawa! Przy harmoszcze gimnastykowali się wszyscy

równo, bo w ZSRR wszyscy mieli „równe konta”. Jeden nad drugiego się nie wynosił. Bronia wspominała, że kiedyś pracowała z Rosjankami. Przyjechała na kontrolę „władza”. Kierownik kołchozu zapytał towarzysza „władzę”: „Zgadnij, która z tych dziewczeczek jest Polaczka?” Ten po namyśle wskazał Bronię. Była jednak różnica.

Po kilku latach pobytu na Syberii Polacy mówili płynnie po rosyjsku. Opór stawiała tylko mama. Nie chciała mówić w tym języku. Podziwiała mnie, że tak szybko nauczyłam się rosyjskiego. W okolicy Morza Czarnego mówiłam nieco inaczej – tak jak tutejsi ludzie. Służyłam więc mamie za tłumacza. Pewnego dnia przyszedł do nas mężczyzna w jakiejś sprawie. Mama zwraca się do tłumacza, czyli do mnie i pyta: „Co on mówi?” Oczywiście przetłumaczyłam. Ona tylko się uśmiechała.

Dzieci miały na stepie frajdę. Biegaliśmy po tych ciepłych trawach bez ograniczenia. Za posiołkiem był nieduży pagórek. Tutaj nabieraliśmy rozpędu i zatrzymywaliśmy się daleko, aż koło domów. To były czasy... Pięty czuło się przy głowie. Wśród dzieci i starszych nie odczuwało się różnicy, czy to Polak czy Rosjanin. Ludzie byli sobie bardzo życzliwi i bliscy.

Po rocznym pobycie na Krymie zaczęły do nas dochodzić wiadomości o wyjeździe do Polski. Polaków ogarnął szal radości. Teraz to już na pewno pojedziemy do naszego kraju. Tutaj przywieźli nas tylko po to, abyśmy zebrali nadmiar zboża. W krótkim czasie nasze przewidywania sprawdziły się. W marcu 1946 roku podjechały duże samochody. Szybko zabieramy ten nasz „majątek” i w drogę – do ukochanej Ojczyzny! Pożegnania, pożegnania..., obietnice, że będziemy o sobie pamiętać i pisać listy. Informować, gdzie jesteście i jak się nam powodzi. Po wyjeździe jednak niewiele osób pamiętało o danych obietnicach. Większość chciała jak najszybciej zapomnieć o tym „raju” i nie wracać pamięcią do tragicznych lat. Wracaliśmy wagonami towarowymi wyposażonymi w półki. Coraz większa radość, bo już widać nasze polskie miasta. Już coraz bliżej. I wreszcie 25 marca 1946 roku stanęliśmy na polskiej ziemi! Pociąg zatrzymał się. Stacja Żurawica koło Przemyśla. Można było wysiąść lub jechać dalej na tzw. Ziemię Odzyskaną. Nie wiadomo było, czy na tych ponemieckich terenach jest bezpiecznie. Tutaj natomiast mieliśmy rodzinę. Rodzice podjęli decyzję, by pozostać w tych stronach. Wysiedliśmy. Był chłodny, wiosenny dzień. Kuzyn Tomek, który pracował na kolei, załatwił furmankę, aby nas zawiozła do rodziny. Przyniósł ze stołówek gorącą zupę i chleb. Po sutym posiłku ruszyliśmy w drogę do miejscowości Orły.

Było nas sześcioro, stanowiliśmy więc za duże obciążenie dla jednej rodziny. W tej sytuacji Bronia wyjechała do cici do Kraczkowej. Tatuś zamieszkał u swojej siostry. Stefę przyjechała druga siostra Tatusia, a ja i mama zamieszkałyśmy u cici Tekli – siostry mamy. Janka była u rodziny w Waclawicach. W niedzielę poszłam pierwszy raz do kościoła. Po powrocie pytano mnie o wrażenia. Powiedziałam, że ksiądz siedział w beczie (na ambonie). Było wiele radości. Kuzynki kpiąco naśladowały moją wschodnią wymowę. Staralam się tak nie mówić, a szkoda, bo jest bardzo piękna. W czasie Bożego Ciała dziewczynki rzuciły kwiatki przed Najświętszym Sakramentem. Kuzynka uszyła mi sukieneczkę z bluzki w zieloną kratkę. Teraz już mogłam Panu Jezusowi sypać kwiatuszki.

Mama przeżywała bardzo naszą rodzinną rozłąkę, poniżenie i biedę. Chciała w jakiś sposób wynagrodzić cici nasz pobyt. Miałam za to paść kilka krów na łące. One były takie duże. Miałam wtedy siedem lat. Nie mogłam sobie z nimi poradzić. Bardzo się ich bałam. Parobek krzychał na mnie. Było mi teraz smutno i ciężko. Najchętniej wróciłabym do Rosji. Mama nie miała dla mnie czasu, bo musiała pomagać w pracy. Czułam się bardzo osamotniona. We wsi Duńkowiczki (2 kilometry od Orłów w stronę Przemyśla) były po wojnie puste domy. Mieliśmy taki dom dostać, ale sprawa się przeciągała.

W lecie było ciepło, więc większość osób przebywających u cici spała na sianie. W nocy zbudził mnie jakiś dziwny ruch i rozmowy. Zauważyłam, że ludzie stali przy ścianie i zagłądali przez szpary między deskami. Ja też z ciekawości pobiegłam, aby zobaczyć co się tam wydarzyło. Niebo od strony wsi Orzechowice było czerwone – niemal purpurowe. Ktoś powiedział, że to na pewno Ukraińcy palą polskie domy. Na wszystkich padł strach, że mogą i do nas wtargnąć, bo to tylko 2 kilometry drogi. W tym czasie w okolicach Przemyśla co noc płonęła jakaś wieś. Polacy byli w okrutny sposób mordowani. Rano co odważniejsi pobiegli, by sprawdzić, czy jest tak jak przypuszczali. Zastali spaloną wieś. W miejscu spalonych domów znaleźli zwęglone ludzkie kadłubki. Mówiono, że Ukraińcy wiązali Polakom ręce do tyłu drutem kolczastym, a potem żywcem wrzucali do ognia. Wcześniej jeszcze jechali samochodem i skrapiali benzyną dom. Następnie biegli z pochodniami i podpalali. Kiedy dom już płonął, wykrzykiwali: „Wychadi!” (wychodzić). Jeżeli schwyтали kogoś żywego, wrzucali go do ognia. Polacy nie potrafili odpłacać tym samym. Nie wiedzieli jak się bronić i co robić. Po prostu byli bezradni.

W ogrodzie cici zbudowano w ziemi schron. Do środka schodziło się po glinianych schodach. Wejście zrobione było pod krzakiem bzu. Za przykrycie otworu wejściowego służyło wieko wykonane z desek. Na środku uchwyt z drutu. Całość pokryta była trawą i ziemią. Schron znajdował się pod krzakiem dlatego, że gdyby ktoś szedł górą, nie słychać było dudnienia i pustki pod spodem. W schronie było mokro i ciasno.

Wujek – człowiek bardzo odważny (w czasie I wojny światowej pokonał pieszo drogę z Syberii do Polski) – zostawał na noc w domu, aby czuwać i pilnować zabudowań. Jednej nocy widział oddział UPA. Przeszli po cichu szosą koło domu. Omijali Orły, bo tutaj była polska policja, która posiadała karabin maszynowy. Czasami chodziłam z dziećmi na nocleg do Domu Ludowego obok policji. Tutaj było bezpieczniej. Mama niekiedy mówiła: „Nie umarliśmy na Sybirze z głodu, to nas w Polsce Ukraińcy wykończą”. Co noc niebo krwawiło od ognia i tej niewinnej krwi. Schron nie dawał całkowitego i pewnego zabezpieczenia. Jeździliśmy więc często na noc do polskiej dużej wsi Żurawica. Codziennie wieczorem przeładowane furmanki podążały w jednym kierunku. Ludzi było bardzo dużo. Nie wszyscy mogli się pomieścić w domach. Niektórzy spali na furmankach. Gdzie kto mógł wtulił się do jakiegoś kąta, by przetrwać noc. Rano skoro świt wracaliśmy tzw. fortocznym gościńcem. Pewnego razu ktoś zauważył, że przy drodze stoi żołnierz z bronią skierowaną w naszym kierunku. Strach. Trudno się było zdecydować – wracać czy jechać dalej? W końcu postanowiono, że skoro już nas widzi i broń skierował w naszą stronę, to i tak żywi nie ujdziemy. Trzeba było zdać się na wolę Bożą. Drżeliśmy wszyscy ze strachu. Podjeżdżamy bliżej, a tu stoi stara, krzywa wierzba z uschniętym konarem skierowanym w naszą stronę. W jednym momencie ogarnął nas wszystkich histeryczny, nerwowy śmiech. Wróciliśmy szczęśliwie.

Nocami Ukraińcy regulowali z Polakami niektóre swoje porachunki, nawet z tymi, którzy dopiero co z różnych stron przyjechali. Znowu niebezpiecznie. Ciągły strach. Coraz bardziej tęskniłam za Syberią. Tam Rosjanie byli nam życzliwi. Kiedyś na szosie wyminął mnie rosyjski samochód, w którym zauważyłam dziewczynkę podobną do koleżanki z rosyjskiego przedszkola „Diedsadiku”. Nie mogłam od niej oderwać wzroku, byłabym biegła za nimi. Taka mnie znowu ogarnęła tęsknota, która nękała mnie przez długie lata, nawet w klasztorze.

Po powrocie do Polski poszłam z kuzynostwem do szkoły, chociaż był to już kwiecień. Nauczycielka przyjęła mnie do pierwszej klasy. Kiedy szłam do szkoły, przyglądałam się domom. Wszystkie były ogrodzone. Ludzie mieli je na własność. Myślałam – „jacy oni bogaci”. Brak mi było tej rosyjskiej wolności, nieograniczonej przestrzeni. Tutaj czułam się źle z naszą biedą. W szkole dzieci ładnie ubrane, już się znają, śmieją się, rozmawiają, a tu przyszła taka bosa bieda. Do tego taka inna. Wróciliśmy z Krymu. Byłam opalona jak czekolada. Miałam też czarne kędziory. Chłopcy w czasie pauzy doskakiwali do mnie z pustymi pistoletami, których po wojnie było wiele. Płakałam. Wróciła znowu wielka tęsknota za „rajem”.

Nakazane miałam, by ze względu na bezpieczeństwo nie chodzić szosą tylko poboczem. Chodziłam więc 2 kilometry często po mokrej i zimnej trawie, a że nie miałam butów, więc tworzyły się rany między paluszkami. Mama poszła do urzędu UNRRA po przydział darów, które przysłano z Ameryki. Powiedziano, że ktoś z rodziny wziął dla nas przydział, ale my nie wszystko z wymienionych rzeczy otrzymaliśmy... Koce bardzo by nam się przydały. Otrzymaliśmy od kogoś z rodziny kilka par butów, lecz miały podrywane zelówki. W przydziale były dwa męskie lakierki – obydwie bardzo długie, wąskie i do tego lewe. Mama poszła z nimi na targ. Może ktoś kupi? Ludzie żartowali, że takie buty to pewnie pasowałyby tylko na Churchilla. Przyniosła je z powrotem.

Do szkoły potrzebna mi była teczka na zeszyty. Skąd ją wziąć? Starszy wujek pomógł mi ten problem rozwiązać. Dał mi duży, zielony, brezentowy chlebak partyzancki. Był za duży jak na pierwszoklasistkę, ale „teczka” była. Nie miałam też elementarza. Po wojnie nie było go gdzie i za co kupić. Podczas lekcji chlebak wypadł mi spod ławki. Nie podniosłam go, tylko się mocno zarumieniłam, ponieważ był inny niż miała reszta klasy. Koleżanka, z którą siedziałam, podniosła go i wsunęła pod ławkę.

Szkoła w Orłach była czteroklasowa. Uczyła jedna nauczycielka, Anna Kołowik, która równocześnie pełniła funkcję kierowniczkę. Była to siwiutka, starsza pani, bardzo mądra i szlachetna. Zaraz na początku chciała mnie zakwalifikować do drugiej klasy, ale ja nic nie mówiłam – ani słowa – nawet wtedy, gdy byłam pytana. Te straszne przeżycia pozostawiły we mnie taki ślad. Starsi tego nie rozumieli. Zmartwiona nauczycielka pytała kuzynów, czy ja w domu rozmawiam. Odpowiedzieli, że tak. Z czasem poradziłam sobie z tym problemem. Przed Wielkanocą nauczycielka podarowała mi pisanekę i małego baranka z cukru. Po raz pierwszy w szkole przemówiłam. Powiedziałam: „dziękuję”. Cóż to była za radość dla niej. Trafiła do dziecka. Od tamtego czasu wszystko się zmieniło na lepsze. Brałam już udział w lekcjach i często się zgłaszałam do odpowiedzi. Przed wakacjami, kiedy odchodziłam do innej szkoły, nauczycielka powiedziała do mnie: „Odchodzi moja najlepsza uczennica”. Po trzech miesiącach w pierwszej klasie otrzymałam promocję do klasy drugiej.

W Orłach u państwa Ruszłów było wesele, na które została zaproszona cała nasza rodzina. Starsi zajęli miejsca przy stołach, dzieci natomiast bawiły się na podwórku i w stodole. Orkiestra wycinała różne obertasy. Młodzież poszła w tany. Niektórzy starsi też starali się jej dorównać. Dzieci „praktykowały” po kątach. Wesele uświetnił swą obecnością ksiądz proboszcz Stanisław Kościński. Wszyscy odnosili się z wielkim szacunkiem do tak zacnego gościa. Ktoś zdradził mu, że jest tutaj taka mała sybiraczka, która ładnie tańczy kazaczoka (rosyjski szybki taniec z przysiadami). Proboszcz

odnalazł mnie wśród dzieci w stodole. Prosił, bym zatańczyła, ale dzikuszek trzymał się belki i bardzo się wszystkich wstydził, a już najbardziej księdza. Prośbom jednak nie było końca, nie mogłam się już wymówić. Weszłam na zrobioną na podwórku podłogę. Do pary dano mi starszą koleżankę, też sybiraczkę. Orkiestra ucięła melodię kazaczoka. Wróciły miłe wspomnienia. Z radości zdawało mi się, że unoszę się w powietrzu. Do tego jeszcze bardzo lubiłam tańczyć. Gościom podobał się występ, bo tańczyły dzieci. Ksiądz proboszcz był bardzo zadowolony, że praca nad owieczką nie poszła na marne.

Na następne wesele byliśmy zaproszeni do rodzinnej wsi rodziców – Kraczkowej koło Rzeszowa. Wsiadaliśmy z mamą z pociągu w Łańcucie. Podeszła do nas jakaś nieznajoma i oświadczyła, że ma dla mnie ładną lalczkę. Zrozumieliśmy, że chce mi lalczkę podarować. Prowadziła nas krętymi uliczkami bardzo daleko. W końcu doszliśmy do sklepu. Lalki były bardzo ładne, ale drogie. Nie było nas stać na taki luksus. Na weselu też musiałam zatańczyć kazaczoka. Przyszły szwagier dał mi za ten występ sporą sumę, ale zaraz ją zgubiłam. Strata nie do odżałowania...

Latem 1946 roku, po długich staraniach, otrzymaliśmy w Duńkowiczkach (7 kilometrów od Przemyśla) dom, który jeszcze nie był wykończony. Do tego był mały, gdyż składał się z jednego pokoju i przedsiönka. Zaraz na początku odwiedził nas Sołtys – sąsiad. Przyglądał się jak mama w kuchni kafłowej zaklejała otwory gliną, a w miejsce brakujących drzwiczek włożyła cegłę. Wzruszyła go widocznie ta bieda, bo przyniósł drzwiczki od tej kuchenki (ktoś je wcześniej wyrwał).

Któregoś dnia pojechaliśmy z mamą do nowego domu. Na początku czułam się tutaj jakoś obco. Od strony drogi rosły w ogródku kwiaty – wyższe ode mnie, tzw. pajęczki. Od sąsiadów przyszła koleżanka. Bawiliśmy się razem. Mama chciała, abym tam z nią już pozostała, ale ja czuwałam. Kiedy wóz odjeżdżał, pobiegłam za nim z krzykiem. Wróciłam jeszcze do Orłów.

Wakacje dobiegły końca. Trzeba było wrócić do Duńkowiczek i zapisać się do drugiej klasy, ale już w nowej szkole. Do szkoły poszłam pod opieką starszej siostry Stefy. Zabłądziłyśmy. Poszłyśmy na Fort XI. Była to twierdza (80 ha ziemi) z czasów I wojny światowej, kiedy Rosja walczyła z Austrią. Tutaj toczyły się wielkie boje. Podziwialiśmy tę olbrzymią fortecę. Od pocisków armatnich pozostały jeszcze głębokie doły. Poza nią, na terenie fortu, stała zniszczona cerkiew. Obok był cmentarz. W końcu dotarliśmy do celu. Martwiłam się, że w nowej szkole znów nikogo nie będę znała. W Duńkowiczkach mieszkali Polacy wysiedleni ze wschodnich terenów Polski. Uciekali przed Ukraińcami. Mama mówiła, że „uciekli tylko z duszą”. Przybyli też sybiracy. Ludzie byli bardzo biedni i biedne były dzieci. Do szkoły przychodzili boso, przyodziane w duże chusty. Pomimo to wszystkie były radosne i życzliwe. Niektóre miały stare, zniszczone podręczniki „Wśród dzieci”. Ja podręcznika nie miałam. Musiałam więc przepisywać tekst z tablicy, a potem uczyć się czytać. Było nam bardzo ciężko. Nie było pieniędzy na zeszyty. Szkoła była czteroklasowa. Uczyla jedna nauczycielka, pani Wiśniewska, która była zarazem kierowniczką. Klasy łączono po dwie. Pierwsza z drugą, trzecia z czwartą. Jeżeli jedna klasa była przepytywana, druga w tym czasie coś pisała. We wszystkich klasach było około 40 dzieci. Do szkoły chodziłam chętnie. Nauka nie sprawiała mi trudności. Przy końcu roku otrzymywaliśmy drobne nagrody z UNRRA: piękne ołówki z pachnącą gumką do ścierania, małe zabawki i nici na szpulkach. Uczyla się dobrze, więc mogłam wybrać najlepszą nagrodę. Wybrałam zabawkę jojo. Rodzicom bardziej przydałyby się nici, bo nie stać ich było nawet na to, ale dziecku podobała się bardziej zabawka, chociaż później żałowałam, iż nie wzięłam dla nich nici.

Pewnego razu przyjechał do szkoły fotograf. Zrobił nam zdjęcia – takie jak do legitymacji. Wysłano je prawdopodobnie do Ameryki. Tam miały być wystawione na dużych planszach. Jeżeli jakiemuś Amerykaninowi spodobało się dziecko, mógł je wspomóc, wysyłając paczkę z żywnością lub odzieżą. Nikt z nas paczki nie otrzymał... Może ktoś inny zaopiekował się tymi darami – różnie to bywało. Nie było pracy, toteż brakowało wszystkiego. Było dziecko. Nie było dla niego mleka i nie było za co kupić. Mama kiedyś wspominała, że tutaj bardziej biedowaliśmy aniżeli na Syberii. Tam za pracę dostawała chociaż kromkę chleba, tutaj i tego nie było. Czasami ktoś z rodziny mieszkającej w Orłach podrzucił bochenek chleba lub trochę mleka. Niewiele jak dla tak licznej rodziny. Jesienią siostry chodziły po polach i zbierały liście po świętej kapuście, aby było co do garnka włożyć. Często pomagały rodzinie w pracach polowych, żeby coś zarobić. Stefa pracowała przy wykopywaniu ziemniaków. Chłodno – wszyscy dobrze ubrani, obuci, a ona boso. Starala się dorównać wszystkim w pracy, ale po sybirackim głodzie sił nie starczało. Mama ze łzami w oczach zwróciła się do rodziny, by złożyła się chociaż po pół metra zboża i kupiła nam jakąś starą krowę. Rodzina była duża i zamożna. Wszyscy dali po pół metra. Tomek Dźwierzynski, który jako pierwszy powitał nas na polskiej ziemi, dał nam metr zboża, chociaż – jak wspominała mama – w tym czasie i jego rodzinie było ciężko. W tym okresie Bronia wyszła za męża. Teraz w jednym mieszkaniu było nam za ciasno. Rodzice za grosze zdobyte z wielkim trudem kupili w środku wsi stary dom. Bronia zamieszkała oddzielnie i już było lżej.

Obok nowego domu mieszkali Ukraińcy. Nie byliśmy za bardzo szczęśliwi z tego powodu, ale musieliśmy pogodzić się z sytuacją. Pewnego dnia wyszłam do ogrodu. Od sąsiada Ukraińca poleciały w moją stronę kamienie.

W 1947 roku była akcja „Wisła”. Rdzennych Ukraińców wywieziono na Ukrainę. Natomiast małżeństwa mieszane w Olsztyńskie i na Ziemię Zachodnie (tereny odzyskane od Niemców). W dniu, w którym wyjeżdżali Ukraińcy, miałam iść do ciotki mieszkającej w Orłach. Mama przypominała, bym nie szła szosą, bo „dzisiaj odjeżdżają Ukraińcy, to mogliby ci coś złego zrobić”. Szłam więc polną ścieżką. Z daleka widziałam na szosie wiele furmanek wypełnionych ludźmi i dobytkiem. Przy wozach powieszane były wiadra. Ukraińcy masowo wyjeżdżali. Od tego momentu ustały mordy i całkowicie wygasły ciągle płonące wsie. Nasi sąsiedzi, którzy rzucali we mnie kamieniami, też wyjechali. Wiele osób pozostało jednak dzięki znajomościom. Z czasem zasymilowały się i są teraz Polakami.

W II klasie szkoły podstawowej ksiądz proboszcz przygotowywał nas do I Komunii Świętej. Na nauki chodziłam do parafii Małkowiec. Tu znów pojawił się problem – w co ubrać dziecko na tak piękną uroczystość. Sukieneczkę miała mi pożyczyć koleżanka Marysia S., która była u Komunii rok wcześniej. Okazało się, że miała ją też pożyczyć inna koleżanka – zamożna jedynaczka. Na tym tle doszło między nami do sprzeczki. Mamy załagodziły spór. Mama koleżanki kupiła nową sukienkę, a ja dostałam pożyczoną. No dobrze, ale co z resztą? Potrzebne są jeszcze buty, książeczka, lilijka i inne rzeczy, a tu pusto w kasie. Mama miała kilka kur i od dłuższego czasu odkładała jajka na te zakupy. W piątek – dzień targowy – wzięła koszyk z jajkami w jedną rękę, a ja na bosaka z drugiej strony. Idziemy 8 kilometry do Przemyśla po zakupy. Po drugiej stronie szosy jadą na targ furmanki. Jedna za drugą. Gwarno i wesoło, tylko gospodarze z bicza strzelają. Mama spogląda, czy ktoś się nie ulituje, chociażby nad dzieckiem i nie weźmie na furmankę. Niestety, idziemy dalej. W pewnym momencie podjeżdża na rowerze młody chłopiec – kuzyn Józef G. „Niech ciocia da tą małą – zwraca się do mamy – podwożę ją i zostawię pod krzyżem przy ulicy 3 Maja”. Byłyśmy bardzo wdzięczne. Pierwszy raz jechałam na rowerze. Co za wspaniała jazda. Stoję więc pod krzyżem w umówionym miejscu. Rozglądam się w różne strony. Mamy nie widać! Myślę sobie: „Może poszła inną drogą? Jak ja ją teraz znajdę?” Już na płacz mi się zbiera... Wreszcie widzę z daleka – idzie. Jest! Co za radość! Idziemy na zakupy. Iluż tu ludzi na tym targu! Wszędzie powojenne rumowiska, ale to nikomu nie przeszkadza. Kobiety kupują masło w ośłkach, na chrzanowych liściach i w garnuszkach. Kosztują zanurzając czubek długiego paznokcia, to zachwalają, to znów ganią. Wszędzie gwarno i głośno. Rozdmuchują kurom pierze – sprawdzają czy tłuste. Ileż tu rozmaitości. Jakie piękne zabawki na drucikach, kolorowe wózki, lalki. Aż się w głowie kręci... Nie wiadomo w którą stronę patrzeć. Szukamy bucików. Mama wybrała czarne trzewiczki, najtańsze – pozszywane z kawałeczków czarnej skórki i małą książeczkę do modlitwy w czarnej okładce z naklejonym obrazkiem Matki Bożej Karmiącej. Zakupy zrobione. Przydałyby się jeszcze inne rzeczy, a szczególnie biała, sztuczna lilijka, którą będą miały dziewczynki. Niestety, na resztę nie starczyło pieniędzy.

Mamy dzieci komunijnych zbierały składkę, by po Komunii w Domu Ludowym przygotować swoim pociechom śniadanie (wtedy post eucharystyczny obowiązywał od wieczora dnia poprzedniego do Komunii Św.). Chociaż po bułeczce i po kubku kawy. Z Duńkowiczek do Małkowiec jest około 3 kilometry – takie śniadanie by się przydało. Mama nie dała składki, bo nie miała pieniędzy. Mama koleżanki jedynaczki powiedziała, że weźmie do butelki kawę i po mszy wypijemy za kościołem. Do kościoła rodzice wzięli koleżankę furmanką i mnie też zabrali.

13 czerwca 1947 roku. Niedziela. Dzień wyjątkowo piękny, słoneczny, ciepły. Niedaleko od kościoła na murawie ustawiono nas dwójkami. Spoglądałam na koleżanki. Niektóre miały wianuszki z kwiatuśków czerwonej muszkatełki. Ja miałam zrobiony z żywych kwiatów, ale z białych. Dobrze, że Pan Bóg nie patrzy na stroje, ale na serce. Ciocia z Orłów pożyczyła mi białą wstążkę na kokardę, ale zaznaczyła: „Nie zniszcz i odnieś zaraz po uroczystości”. Tak też uczyniłam. Po chwili przyszła po nas uroczysta procesja z księdzem proboszczem na czele. Ze śpiewem wprowadzono nas do kościoła. Nadszedł wreszcie oczekiwany moment. Dwóch ministrantów rozwinęło na ołtarzu długi, biały obrus. Podchodziliśmy rzędami, a Pan Jezus przychodził do naszych czystych, szczęśliwych serc. Mama w czasie mszy św. płakała, bo tylko jej Zosia nie miała lilijki.

Po nabożeństwie poszłyśmy z koleżanką, według umowy, za kościół (na kawę). Jej mama wyjęła butelkę. W tym momencie podeszła do nas pani Orzechowska z Komitetu Komunijnego ze słowami: „Chodźcie kochane, jeżeli dla wszystkich wystarczy, to i dla was”. Dobra kobieta, niech ją Pan nagrodi niebem. Wprowadziła nas na salę, gdzie już wszystko było przygotowane. Duży stół przykryty był białym obrusem. Dookoła ustawione talerzyki. Na każdym po dwie słodkie bułeczki, a obok kubek białej, słodkiej kawy. Jakie to było wspaniałe. Zjawił się nawet fotograf. Po śniadaniu pamiątkowe zdjęcie. Pod ścianą Domu Ludowego ktoś postawił krzesło. Jedna z matek przerzuciła przez oparcie swoją kolorową chustkę, aby była jakaś dekoracja. Nawet się udała. Czasami spoglądałam z zadumą i uśmiechem na to oryginalne zdjęcie. Krótka, biała sukieneczka, czarne buciki. Włosy kędzierzawe nie utrzymały wianka. Połowa zwisa na czole. Pożyczona kokarda znalazła się w tyle głowy. Trzymam lilijkę – nie swoją. Ktoś w ostatniej chwili wetknął mi do ręki, bo jak to może być bez lilijki. Ileż to jest dobrych i życzliwych ludzi na świecie. Wszystko bardzo skromne, ale na niewinnej twarzy uśmiech i szczęście.

Po Komunii mama chciała mi ten dzień jakoś uprzyjemnić. Do domu nie było po co wracać. Poszłyśmy na obiad do cici N. w Małkowicach. Musiałam przy obiedzie bardzo uważać, by nie poplamić pożyczonej sukienki. Po południu wróciłyśmy z mamą piechotą (ok. 3 kilometry) do domu. Tutaj już czekało na mnie zajęcie. Mieliśmy już kupioną krowę. Trzeba było zdjąć sukienkę, ubrać swoje biedne okrycie i wygnać „karmicielkę” na trawę do sadu.

Siedzę pod rozłożystą jabłonką. Krowa smacznie skubie trawę. Ile razy zamierza iść na pole sąsiada, krzyczę i zaraz wraca. Myślę sobie: „Jaka ta krowa dzisiaj inna..., taka dobra. Jak ona mnie słucha. Zawsze taka niesforna złodziejka. Jak na nią krzyknęłam, to tym bardziej biegła w szkodę. Dzisiaj na pewno pomaga mi paść Anioł Stróż”. Mogło tak być, bo było zupełnie inaczej, aniżeli zawsze. To był dla mnie bardzo szczęśliwy dzień, chociaż spędzony na pastwisku. Była tutaj medytacja. Myślę, że Panu Bogu miła. Obserwuję teraz dzieci w czasie I Komunii Św. Te wszystkie fatalaszki przesłaniają im to, co jest najważniejsze – samego Boga! Szczęście jest wewnątrz człowieka, w wielkiej ciszy.

W piątej klasie szkoły podstawowej byłam z mamą u rodziny we wsi Kraczkowa. W kościele była prymicyjna msza św. syna dawnego sąsiada rodziców. Nim na nią poszłam, Mama powiedziała: „W momencie, kiedy ksiądz prymicjant będzie ci udzielał błogosławieństwa i będzie trzymał ręce nad twoją głową, módl się o co chcesz, a Pan Bóg ci to spełni”. Szeptalam wtedy: „żebym była zakonnica..., abym była...” Po wyjściu z kościoła mama zapytała: „O co się modliłaś?” Nie zdradziłam swojej tajemnicy. Ujawniłam ją dopiero po latach. Pan Bóg mnie wysłuchał. Jestem siostrą zakonną – sercanką – wdzięczną Panu Bogu za łaskę powołania.